

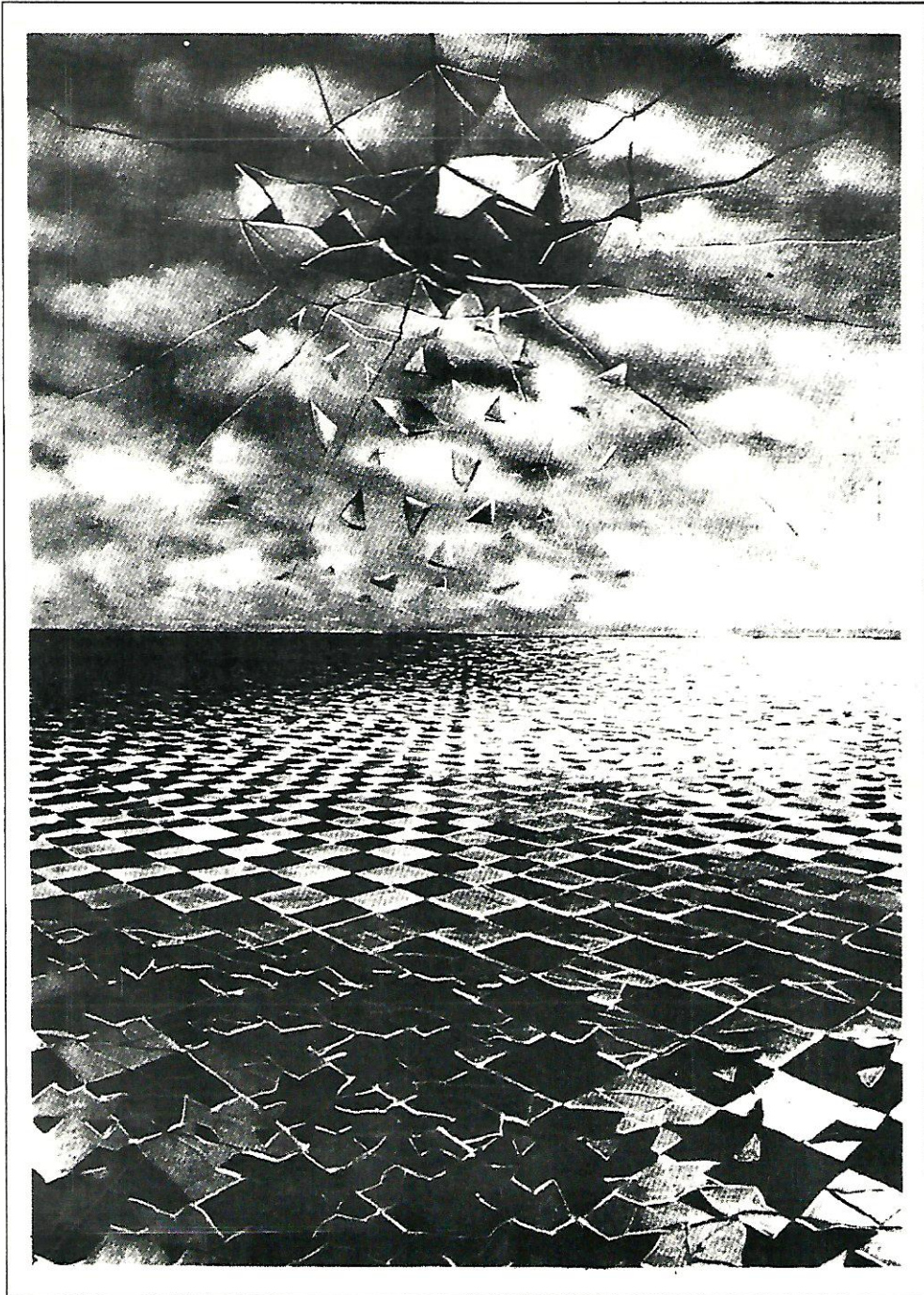
33/24

tak i nie

Nr 4

MAJ
1990

CZASOPISMO POLSKIE W AFRYCE POLUDNIOWEJ



Bogdan Stodulny

167



TOURCENTRE TRAVEL



As travel restriction to Eastern Bloc Countries become more relaxed it is now possible for S.A.-passport holders to experience or re-unite with the East.

BEST PRICES TO EASTERN EUROPE

PRAGUE	FROM R3 089,00	BUCHAREST	FROM R3 035,00
MOSKOW	FROM R3 670,00	SOFIA	FROM R3 009,00
WARSAW	FROM R3 249,00	BELGRADE	FROM R3 009,00
BUDAPEST	FROM R3 035,00	ISTANBUL	FROM R2,869,00

We arrange visas

For more information and flights to any other destination

GIVE US A CALL RIGHT NOW

3RD FLOOR • ROYAL ST. MARY'S BUILDING

63 PRITCHARD ST. • JOHANNESBURG 2001

PHONE (011) 23-1910/1 • FAX: (011) 337-2452

Telex: 4-26093 SA

Zamiast Lufthansy

Szanowny Panie Redaktorze

"Disce puer latinae" albo "mowi sie po polski" czyli o edukacyjnych walorach "Tak i Nie".

Nie wiem czy inni Szanowni Czytelnicy, podobnie jak ja, zwrócili uwagę na fakt, że redagowane przez Pana Redaktora pismo oprócz normalnej roli informacyjnej aspiruje do pełnienia również roli edukacyjnej w stosunku do grona swoich odbiorców. Trawestując powiedzenie jednego z polskich artystów kabaretowych - "Tak i Nie" to nasze okno na świat, uczy nas i bawi".

Ot, weźmy choćby na przykład artykuły naszego Naczelnego. Po prostu naszpikowane elegancka łacina. Traktując (słusznie) nas - czytelników pisma jako matolków, Redaktor skwapliwie zamieszcza tłumaczenia polskie obok łacinskih cytatów oszczędzając nam tym samym szperania po słownikach wyrazów obcych. Coż to za wspaniała rekompensata za niedostatki nauczania łaciny w Polsce!

Jest również "Tak i Nie" niewyczerpana wprost kopalnia wiedzy o języku polskim. Otoż ja, człowiek w tak zwanym średnim

wieku, wyobrazałem sobie dotąd, że przez te "dziesci" i pare lat wladania tym językiem osiągnąłem nienajgorszy poziom. Okazuje się jednak, że zawsze można nauczyć się czegoś nowego. Przekonało mnie o tym, zaraz po rozpoczęciu lektury marcowego numeru "Tak i Nie", zamieszczone w nim ogłoszenie "Lufthansa News".

Czegoż tam nie ma?

Sa więc przede wszystkim "pasazerowie podruzujacy do RPA", którzy mogą się tam wybrać, jeśli wola, w "ubocznym sezonie" korzystając "za darmo" z możliwości "rozbitego przelotu" (nie mylic z rozbitym samolotem). Na rozbitkow oczekuje tutaj "fantastyczna atrakcja" a mianowicie podróż "przez LUFTHANSA EXPRESS" na trasie "lotnisko-lotnisko". Z atrakcji tej niestety nie skorzystają ich walizy, które "pojada bezpośrednio". W ogłoszeniu znajdujemy ponadto takie odkrywcze informacje jak to, że "komunizm przegral" oraz, że "Lufthansa zauważa zdecydowany wzrost na informację". Potencjalnych pasazerów zainteresuje niewątpliwie fakt, że bilety są do nabycia w "urzędach" Lufthansy (w odróżnieniu od tzw. wilczych biletów, które były do nabycia w Urzędach Spraw Wewnętrznych PRL). Możliwe tak kontynuować jeszcze długo bo forma i

stylistyka ogłoszenia jest taka, że "baki zrywac".

A swoją drogą cała ta historyjka przypominała mi, jak to niegdyś jeszcze w Polsce nabyłem parasol produkcji NRD, do którego dołączona była instrukcja konserwacji w języku polskim (ale wydrukowana w NRD). Brzmiała ona mniej więcej tak: "Przyjdzie gość z mokrem parasolem to tenże będzie rozpostarty i powieszony w kuchni lub w łazience".

Może należałoby zalecić powyższą terapię Panu Redaktorowi aby miał czas zastanowić się nad poprawną polszczyzną w redagowanym przez Nięgo, skądinąd sympatycznym czasopiśmie.

Łącząc "uboczne" ukłony
Z poważaniem
P.W. Michalczyk

od red.

Pozazdrośćcie cietego dowcipu i zlosliwego pióra. Z trescia uwag co do poprawnej polszczyzny w pełni sie zgadzam. Moglbym sie tłumaczyc "wyzsza koniecznoscia" i "nadrzednym celem". Fakt jednak pozostaje faktem, mimo ze "sprawca" dzialal w dobrej intencji. Nie zamiescimy juz nic, przyrzekam, bez ostatecznej korekty.

Rumieniacy sie nieco
Redaktor



Krzysztof Marski - redaktor

Piotr Plebankiewicz - wydawca

OD REDAKTORA

W pięknych i dziwnych czasach żyjemy. Nieprawdopodobnie kiedyś, teoretyczne wydawałoby się kwestie i pytania wracają do nas w postaci konkretnych i ważnych problemów. Takim pytaniem było dla mnie jeszcze rok, dwa lata temu, kwestia: Co się będzie działo, gdy Polska uzyska pewnego dnia niepodległość?

Myslałem o tym w kategoriach futurologii. Bylem przekonany, że ja na pewno nie, może moje dzieci, a prawdopodobnie wnuki doczekają, może będą tworcami niepodległej Ojczyzny. Moje zaskoczenie, wynikające z demonizacji zjawiska komunizmu - przypisywaniu mu cech ponadczasowej, nie liczącej się z pragnieniami ludzi, możliwości istnienia - podzielałem z wieloma, którzy w tym systemie żyli. Wydawał się on nam kwintesencją zła, posługująca się wyrafinowanymi metodami, które opierając się na złych elementach ludzkiej natury mogą trwać wiecznie, nie licząc się z odwiecznymi pragnieniami wolności, równości i braterstwa.

Teraz widzę, że demonizacja ta była niemalże powszechna, podzielała ją i nadal nadziwić się nie mogą - co się dzieje - autorzy dwóch pierwszych artykułów niniejszego "Tak i Nie" Jerzy Turowicz w "Skąd i dokąd idziemy" oraz Jan Skorzynski w "Kosztach roztrąpności".

Wracając jednak do pytania - "Co się w Polsce będzie działo..." to przyznam, że odpowiadałem kiedyś bez zastanowienia: To dopiero będzie balagan !!!

Dlaczego tak bez namysłu i z przekonaniem. Zawazyło tutaj prawdopodobnie anegdotyczne stwierdzenie, że "Gdzie dwóch Polaków, tam trzy opinie" (partnie polityczne?). Zawazył fakt, że w ostatnich dwustu latach najnowszej historii mieliśmy my Polacy tylko dwadzieścia lat prawdziwej niepodległości i demokracji. Nie było zatem w siedmiu, osmiu ostatnich pokoleniach Polaków zakorzenionej tradycji demokratycznej. Zawazyła wreszcie obserwacja naszych emigra-

cyjnych wyczynów, gdzie to obojętnie czy w St. Zjednoczonych czy w Pld. Afryce jesteśmy wyjątkowo rozbici, niezdolni do współpracy. Nb. Kontrprzykład zamieszczam w obecnym numerze w artykule "Tuz za miedza", czyli Polonia z Vaal Tringle.

Mimo, że rozumiem doskonale przyczyny mojej reakcji - "To dopiero będzie balagan", to jednak czytając artykuły polskiej prasy, w szczególności o walce politycznej, podziałach w "Solidarności", balaganie, czsem braku koncepcji władz nowej Polski - jestem smutny. Niewiele pomaga przeswiadczenie, że tak być musiało. Myślę, że i Wy - Drodzy Czytelnicy podzielać ten smutek. Dla pocieszenia samego siebie muszę jeszcze raz powtórzyć - układy polityczne sprawnie działającej demokracji buduje się nie w ciągu dni lub miesięcy, tak jak struktury gospodarki nie da się od razu zmienić. Narodom, które taka demokracja tworzyła zabralo to dobrych kilka pokoleń. Mam nadzieję, wraz z Wami Moi Drodzy, że Polakom zabierze to kilka zaledwie lat. Nie martwmy się na zapas, dajmy kredyt zaufania zdrowemu rozsądkowi i dobrej woli naszych redaktorów w Kraju.

Z nowości kuchennych - gazetkowych chciałbym zwrócić uwagę Państwu na ciekawy artykuł dr Potrzebowski "Polska i Niemcy - sasiedzi od zarania dziejów". Jest on ważnym przyczynkiem do historii tych stosunków i co równie ważne, jest on dziełem naszego brata-emigranta. Zamieszczamy, jak Państwo widzicie, coraz więcej naszych własnych, napisanych przez emigrację tutejsza artykułów. Chciałby, aby włącznie z listami do redakcji, nasz wkład do "Tak i Nie" ustalił się na poziomie około dwóch trzecich objętości piśmka. Jeszcze raz zapraszamy do współpracy.

Rozbił nam się przesłowiowy "worek z listami", jakże się cieszymy. Kolega Piotr napisał specjalny wstęp - nasze credo - do listów do redakcji. Listy od Was, Drodzy Czytelnicy stanowią, poza prenumeratami, dowód naszej poczynności, potrzeby naszego istnienia. Piszcie do nas zatem, piszcie krytycznie,

doradzajcie, podsuwajcie tematy czy problemy. Za to co już otrzymaliśmy pięknie dziękujemy.

Jak to już zapowiadaliśmy, kończymy wraz z czwartym numerem gazetki rozsyłanie "Tak i Nie" jako darmowej reklamy. Dla wszystkich, którzy otrzymali trzy pierwsze numery, a nie zapłacili prenumeraty, posyłamy teraz tylko cztery strony: okładkę, spis treści (aby było wiadomo czego załować), niniejszy "wstępniak" oraz reklamy. Muszę powiedzieć, że z zalem rozstajemy się z tą grupą czytelników, ale coż, musimy założyć, że gazetka ich, z tych czy innych względów, nie interesuje. Z drugiej strony, nasz prywatny sondaż (około 50 rozmówców) pozwala nam stwierdzić, że każdy numer gazetki, przy nakładzie około 800 egz., jest czytany przez 2 - 3 rodzin. Ciekawe ?!!!

Wasz Redaktor

W NUMERZE :

Strona :

4. Skąd i dokąd idziemy

-artykuł Jerzego Turowicza

6. Koszty roztrąpności

-artykuł Jana Skorzynskiego

7. Twardo donikad

-artykuł Marcina Oblickiego

8. Nie zdadzimy

-artykuł Macieja Zalewskiego

9. Embrion rynku

-artykuł napisany pod redakcją

Doroty Bernhardt

10. Powrót bezpieki

-artykuł Jana Olszewskiego

12. Polska i Niemcy - sasiedzi od zarania dziejów

-artykuł nadesłany przez Dr

S.W. Potrzebowski

14. Abecadło Kisiela

-fragmenty książki Stefana Kisiela pod tym samym tytułem

15. Tuz za miedza

-artykuł K. Marskiego o Polonii w Vaal Tringle

16. Loza szyderycy

17. Skutki nacjonalizacji

-wspomnienia z Kenii p. Ady

Winczy

17. 3 pułk Strzelców Konnych w Wolkowsku

-wspomnienia p. Henryka

Samolinskiego

19. Poezja

20. Nasz wywiad

-wywiad z p. Maria Foltyn przeprowadzony przez Marie Dlużewska

21/22/23. Listy

Skład redakcji:

Krzysztof Andrzej Marski, Piotr Plebankiewicz, Teresa Pagorska, Anna Andrzejewska, Marek Mijałnicki; współpraca: Danusia Knapska, Andrzej Kamiński.

W numerze wykorzystano oryginalne teksty udostępnione nam przez p. Ade Wincze, p. Marie Dlużewską, oraz p.p. Konrada Lesniaka, Jerzego Olejnika, Henryka Samolinskiego, Romana Szczecine

Adres redakcji:

P.O.Box 2300

Randburg 2125

Fax 011/887-77-76

Tel: 787 41 86 (redaktor),

726 58 97 (wydawca)

Z KRAJU

Skąd i dokąd idziemy

W amerykańskim tygodniku "The New Yorker" ukazał się niedawno rysunek satyryczny: w piekle, za biurkiem siedzi diabeł, naciska guzik dyktafonu i mówi: "Panno Clark, niech pani odszuka Jozia Stalina i powie mu, że komunizm umarł". Istotnie, w ciągu ostatnich miesięcy, na naszych oczach, dokonała się ta rzecz zdumiewająca i najzupełniej niespodziewana. Demokracje ludowe Europy Środkowo-wschodniej zrzuciły z siebie jarzmo komunizmu. Gorbaczow odrzuciwszy breżniewizm i stalinizm, odwołuje się jeszcze do marksizmu-leninizmu, ale dynamika sytuacji zapewne zmusi Związek Radziecki do dalszych rewizji. Zupełnie nieoczekiwanie wyrzeka się komunizmu Mongolia, w Nikaragui komunizujący sandinisci - również wbrew oczekiwaniom - przegrali wybory, Włoska Partia Komunistyczna wykreśla ze swej nazwy słowo komunizm. Bronia się jeszcze twierdząc Tyrany, ale - jak się zdaje - i w Tyranii zaraza.

Wszystko to jest wszystkim dobrze znane i było wiele razy powiedziane, także na tych łamach. Jeśli mówimy o tym jeszcze raz, to dlatego, że wydaje się jak gdyby ludzie nie rozumieli w pełni, nie doceniali wagi tego historycznego trzęsienia ziemi, najważniejszego wydarzenia naszego stulecia. Owszem: u nas i gdzie indziej upadek komunizmu witano z radością i entuzjazmem (choć nie wszędzie), jako coś, o czym marzono, ale czego się nie spodziewano, traktując, to co odchodzi, z ironią i sarkazmem, może i z nienawiścią, ale - jak gdyby - nie dostrzegając patosu wydarzenia. Co prawda ten patos został niejako przysłonięty, przyćmiony przez ową zalosny, wstydlawy sposób w jaki komunizm schodzi ze sceny świata. Bo oto partie komunistyczne, od dziesięcioleci dzierżące niepodzielnie władzę, dysponujące potężnym aparatem przymusu, wojska, policji, cenzury, zostają zmuszone do kapitulacji pod naporem bezbronných mas ludowych, których jedyną bronią jest nieodparte pragnienie wolności.

Przecież koniec komunizmu to nie tylko upadek reżimów opartych o kłamstwo i zniewolenie, ale także koniec gigantycznego, chyba największego w dziejach ludzkości projektu przekształcenia świata, wychowania nowego człowieka, projektu, o którego realizacji marzyły dziesiątki a nawet setki milionów ludzi na kilku kontynentach, wierząc, że przyniesie ona wyzwolenie od ucisku i sprawiedliwość. To komunizm uważano za główną siłę w walce z faszyzmem i wszelkiego rodzaju pravicowymi dyktaturami, w obronie proletariatu uciskanego przez liberalny kapitalizm, w obronie wszystkich "damnes de la terre" czyli "potępionych na ziemi", za

zycia, zepchniętych na margines przez niesprawiedliwe struktury społeczne, ekonomiczne czy polityczne. W idee komunizmu wierzyło i o jego zwycięstwo walczyło wielu ludzi ideowych i szlachetnych, a mesjanistyczna wiara w nadejście królestwa sprawiedliwości i wolności sprawiała, że przymykali oni oczy na zbrodnie popełnione przez komunistów tam gdzie doszli oni do władzy, w przekonaniu, że sa to nieodzowne koszty rewolucji. W latach powojennych, kiedy zbrodniczość systemu ujawniła się w całej pełni, "goszysy" wszystkich obradkow, nieraz i katolicy, nadal utrzymywali, że to sa przejściowe wypaczenia na drodze do raj, lub też cała odpowiedzialność obarczali Stalina, jako tego, który zdradził i zdeformował piękne idee marksizmu-leninizmu. Nie rozumieli oni i często nadal nie chcą zrozumieć, że główna i istotna przyczyna klęski komunizmu jest obecny w samym jądrze marksistowskiej utopii wirus totalitaryzmu, a więc dążenie do realizacji tej utopii na siłę, bez względu na koszt, z pogwałceniem wszystkich podstawowych praw człowieka. Zas doświadczenia ludzkości z totalitaryzmem na przestrzeni naszego stulecia sprawiły, że ludy już więcej nie będą godzić się na to, by je "na siłę" uszczęśliwiano i nawet społeczeństwa, które nigdy nie zaznały demokracji chcą być podmiotem własnego losu.

Tak więc wkroczyliśmy w epokę postkomunistyczną i - oby także - posttotalitarną, choć przyszłość może nam przynieść jeszcze niejedną, niemila niespodziankę. Ostatnio amerykański politolog, Japonczyk z pochodzenia, heglista Francis Fukuyama, ogłosił "koniec historii". Twierdzi on, że klęski, najpierw faszyzmu, a teraz komunizmu, oznaczają definitywne zwycięstwo liberalnego kapitalizmu i że nic więcej w historii się nie zdarzy, będzie nudno. Myślę, że dużo głębszym od Fukuyamy historiozofem (bo nie zarazonym heglizmem!) był nasz Cyprian Kamil Norwid, który niemal 150 lat temu powiedział:

"O, nie skonczone dziejow jeszcze praca, Nie przepałaony jeszcze glob sumieniem!..."

Jeśli jednak jesteśmy już w erze postkomunistycznej, to nie znaczy bynajmniej, że komunizm z dnia na dzień zniknął z powierzchni globu. W różnych krajach wczoraj (a w niektórych i dzisiaj) rządzonych przez komunistów, nawet jeśli oni zmieniają skórę, sprawa różnie się przedstawia, by wskazać choćby na Bułgarię czy Rumunię, nie mówiąc o Związku Radzieckim. A w Polsce? Poprzez "Solidarność", "okrągły stół", czerwcowe wybory i rząd Mazowieckiego weszliśmy na drogę wiodącą od socjalizmu realnego w stronę demokracji. Ale - mówiliśmy to już tu wiele razy, a mimo to ciągle to trzeba jeszcze powtarzać, jesteśmy dopiero na początku tej drogi. Komunizm jest tu jeszcze obecny. I to nie tylko w postaci nowo powstałych formacji lewicy politycznej, liczących kilkadziesiąt tysięcy ludzi, które choć się werbalnie od komunizmu odzegnują, to przecież objęły spadek po ponad milionowej partii, ale istnieje przede wszystkim w strukturach instytucjon-

alnych, w ustawodawstwie, w systemie gospodarczym, w nomenklaturze, czyli w personelu administracji państwowej i wszelkich służb publicznych, istnieje wszędzie w postawach i umysłach ludzi, którzy nawet nieraz nie są tego świadomi. Chcąc budować państwo demokratyczne i samorządne, pluralistyczne i praworządne, musimy te relikwiny komunizmu likwidować. Będzie to proces długi i stopniowy. Trzeba zmieniać instytucje i prawa, budować od dołu samorządność społeczeństwa (we wszystkich dziedzinach, nie tylko w administracji), likwidować nomenklaturę i monopole, wymieniać kadry.

Tu mała dygresja. W sytuacji tak głębokiej zmiany ustrojowej, jaka jest przejście od totalitaryzmu do demokracji, konieczność wymiany kadr służb politycznych, w administracji państwowej, w gospodarce, w organach wymiaru sprawiedliwości, w systemie oświaty, czy w systemie komunikacji państwowej itd., jest czymś oczywistym. Nie oznacza to oczywiście pełnej wymiany kadr nie tylko dlatego, że jest to technicznie niemożliwe. Nikt nie zamierza w Polsce organizować polowan na czarownice i przyjęcie kryteriów kompetencji fachowców pozwoli na pewno większości personelu tych służb pozostać na stanowiskach. Ale to nie znaczy, by można było zrezygnować z kryteriów politycznych i moralnych. Ludzie osobiście odpowiedzialni za łamanie prawa, za krzywdy ludzkie, za szkody wyrządzone narodowi, muszą odejść. I nie może być tak, by ludzie odchodzący np. ze służby bezpieczeństwa czy też aparatu ideologiczno-propagandowego - by wymienić niektóre tylko dziedziny - szli do pracy w systemie oświaty, bowiem dotychczasowa działalność całkowicie ich do tej pracy dyskwalifikuje. I niech towarzyszył Leszek Miller nie rozdziera szat krzyżując, że to dyskryminacja i gwałcenie praw człowieka, straszac niemal donosami do Amnesty International, skoro jego partia jest bezpośrednim spadkobiercą systemu, który przez ponad 40 lat łamał wszystkie podstawowe prawa człowieka.

Budowanie demokracji w naszym kraju to zadanie wszystkich zorganizowanych i organizujących się sił politycznych. One to winny się teraz zmobilizować przed nadchodzącymi wyborami samorządowymi. Owe siły to przede wszystkim Komitety Obywatelskie, "Solidarność" oraz powstające stronnictwa polityczne. Powstawanie tych stronnictw jest w sytuacji demokratyzacji procesem naturalnym i w pełni uprawnionym, niemniej powiedzieć trzeba, że - jak na razie - nieliczne spośród nich zdają się stanowić dojrzałe ugrupowania polityczne, większość zaś to, co niedawno minister Aleksander Hall słusznie określił mianem "folkloru" politycznego. Trzeba przypomnieć, że nie jesteśmy jeszcze w sytuacji pełnej demokracji i - tym samym - jeszcze nie w sytuacji pełnego pluralizmu. Likwidacja relikwintów minionego systemu wymaga koncentracji sił a nie ich rozpraszania. Nasza scena polityczna daleka jest od dojrzałości i "Solidarność" słusznie zmierza do tego, by być tylko związkami zawodowym, a nie partią poli-

tyczna, choc - oczywiscie - zwiazek zawodowy jest takze polityczna sila. Natomiast musza niepokoić nierozsadne i nieodpowiedzialne ataki na Komitety Obywatelskie czy na Obywatelski Klub parlamentarny, oskarzajace te sily o ustanowienie nowej nomenklatury na miejsce starej i domagajace sie zastapienia, juz dzis, obecnego ukkladu wieloscia stronnictw politycznych. Warto przypomniec, ze w niedawnej debacie telewizyjnej z Adamem Michnikiem wlasnie tego samego domagal sie Aleksander Kwasniewski, przywodca spadkobierczyni PZPR. Swiadczy to wymownie czemu i komu sluzylaby przedwczesna i niedojrzala "pluralizacja" naszej sceny politycznej.

Rowniez nierozsadna wydaje sie niecierpliwosc i zadanie gwałtownego przyspieszenia dokonujacych sie u nas procesow, nie raz z powolaniem sie na przyklad tego, co i jak sie stalo w innych panstwach byleby demokracji ludowej, a przeciez jesli niektore z tych panstw na pozor nas wyprzedzily w procesie przemian, to jednak sytuacja w nich jest duzo mniej stabilna i ksztalt przyszlosci duzo mniej wyrazny. Jesli chodzi o wybory parlamentarne, to zapewne nie ma powodu by parlament w obecnym skladzie funkcjonowal pelna czteroletnia kadencje, ale nie znaczy to, by nalezalo te wybory gwałtownie przyspieszac, raz ze wzgledu na owa niedojrzalosc i niedostateczne wykrystalizowanie sie ukkladow politycznych, a po wtore dla tego, ze przeciez rzadowi Tadeusza Mazowieckiego, który - jak wiadomo - cieszy sie poparciem ogromnej wiecejosci naszego społeczenstwa - trzeba dac czas na realizacje tego tak trudnego programu i - tak w dziedzicznie gospodarczej, jak i politycznej. Trzeba wreszcie dodac, ze Zachod - ktorego zyczliwosc i pomoc dla naszej "pokojowej rewolucji" tak duze ma znaczenie - z uznaniem ocenia fakt, ze ta "rewolucja" dokonuje sie u nas w sposob spokojny i stopniowy, bez palenia etapow.

Mowiac o drodze, jaka idziemy z krainy socjalizmu realnego do panstwa demokratycznego, nie mozna pominac roli Kosciola katolickiego. Wiemy wszyscy - mowiono o tym nie raz na tych lamach - jak ogromna role w dokonujacych sie (nie tylko w naszym kraju) przemianach odegrala Stolica Apostolska, a zwlaszcza Papiez - Polak, Jan Pawel II. Role te podkreslila ostatnio nawet radziecka agencja prasowa "Nowosti".

Wiemy takze o roli Kosciola, który jest w naszym kraju wazny w walce o demokracje, o jego konsekwentnych wystapieniach w obronie praw czlowieka, o ochronie i pomocy udzielanej ludziom przesladowanym z powodu ich przekonan, o otwieraniu przestrzeni wolnosci dla niezaleznych srodowisk, zwlaszcza dla ludzi kultury, wreszcie o wytrwalej mediacji miedzy wladza a społeczenstwem. Bez wysilku Kosciola byc moze nie doszloby do "okraglego stolu". Przez niemal caly okres dlugich lat powojennych Kosciol w Polsce byl jedyna a wielka, niezalezna sila spoleczna, niekontrolowana i niesterowana przez wladze, mogaca mowic w imieniu spolec-

zenstwa dzieki odwiecznej wiezi z narodem i jego dziedzictwem duchowym, mogaca stawiac opor totalitarnej presji. Dzisiaj sytuacja ulegla zmianie. W kraju budujacym demokracje spoleczenstwo odzyskalo swoja podmiotowosc, moze mowic pelnym glosem, nie potrzebuje posrednika w dialogu z wladza, skoro samo ma w tej wladzy udzial. Kosciol zas, zwolniony z narzuconych przez okolicznosci zobowiazan, moze bardziej intensywnie poswiecic sie sobie wlasciwym zadaniom duszpasterskim, trosce o ewangelizacje spoleczenstwa. Co nie znaczy bynajmniej by Kosciol nie mial nadal pelnic waznej roli w zyciu publicznym, roli polegajacej nie tylko na wychowywaniu ludzi do wolnosci i odpowiedzialnosci.

Totez pojawiaja sie dzis nie raz glosy, ze nowe panstwo polskie powinno byc panstwem katolickim, czy tez chrzescijanskim. Jest to postulat zrozumialy. Polske mozna okreslic jako kraj katolicki: co najmniej 90 procent obywateli tego panstwa przyjelo chrzest w Kosciele katolickim, a jesli uwzględnimy czlonkow niekatolickich Kosciolow chrzescijanskich, to procent ten jest jeszcze wyzszy. Jak malo w ktorym kraju na swiecie koscioly sa u nas pelne, mamy wysoka liczbe powolan kaplanskich, wysoki stopien praktyki religijnej. Jesli jednak chodzi o relacje miedzy Kosciolem i panstwem, trzeba tu przypomniec pare rzeczy oczywistych.

Najpierw odwieczny problem: Kosciol i polityka. Kosciol z natury swojej nie jest i nie chce byc sila polityczna, jego zadania sa inne. Kosciol nie ma gotowych rozwiazan dla problemow politycznych czy ekonomicznych, nie angazuje sie w polityke partyjna, nie dyktuje swoim wyznawcom na kogo maja glosowac. Natomiast Kosciol w odniesieniu do zycia zbiorowosci pelni, ma prawo i obowiazek pelnic to, co okresla sie jako funkcje profetyczna, taka jaka pelnili prorocy w Starym Testamencie. To znaczy w oparciu o Ewangelię glosi swoja nauke spoleczna, czyli zasady, na ktorych powinien sie opierac zycie publiczne spolecznosci, domaga sie przestrzegania moralnosci w zyciu publicznym, broni praw czlowieka, oskarza niesprawiedliwosci. Ale Kosciol dzisiaj w pelnieniu swej misji nie odwołuje sie do pomocy "bracchium saeculare", jak to bywalo w przeszlosci i co nie zawsze temu Kosciolowi wychodzilo na dobre. Bowiem zadaniem Kosciola jest, by "prze-palac glob sumieniem".

W przeszlosci stosunki miedzy Kosciolem a panstwem regulowaly konkordaty, byly to rozwiazania, ktore dawaly Kosciolowi pelne przywileje, ale zbyt czesto uzaleznialy go od wladzy swieckiej. Dzisiaj rozwiazaniem wlasciwym wydaje sie byc zasada rozdzialu Kosciola od panstwa, oczywiscie nie takiego z jakim mielismy do czynienia w niedawnej przeszlosci, w ktorej praktyka rzekomego rozdzialu prowadzila do ograniczania jego praw i stalej ingerencji w jego dzialalnosc. Rozdzial Kosciola od panstwa, o ktorym mowimy, to sytuacja w ktorej Kosciol posiada pelna niezaleznosc w sprawowaniu swej misji, cieszy sie zyczliwoscia ze strony panstwa i z pan-

stwem tym wspolpracuje.

Rownoczesnie Kosciol, jako instytucja hierarchiczna, nie angazuje sie bezposrednio w zycie polityczne, wzywajacych czlonkow, katolikow swieckich, by jako obywatele, w miare swoich kompetencji i poczucia odpowiedzialnosci, brali udzial w zyciu politycznym, dzialajac na swoja odpowiedzialnosc, zgodnie ze swym sumieniem, kierujac sie nakazami Ewangelii i nauka spoleczna Kosciola, oraz troska o dobro wspolne. Oczywiscie katolicy maja prawo organizowac sie w stronnictwa polityczne o charakterze wyznaniowym, aczkolwiek sprawa, czy takie stronnictwa sa dzis w naszym kraju potrzebne, jest - jak wiadomo - dyskusyjna.

Jak w tej sytuacji wyglada postulat panstwa katolickiego lub chrzescijanskiego? Sa ludzie, ktorzy sadza, ze totalitaryzm w sluzbie blednej ideologii jest zlem, natomiast w sluzbie ideologii slusznej, prawdziwej bylby dobrem. Otóż nie. Katolicyzm (czy chrzescijanstwo) nie jest ideologia, a kazdy totalitaryzm jest zlem, ze przypomnimy Iran ajatollaha Chomeiniego. Mowil o tym niedawno pieknie i mądrze na tych lamach Tadeusz Zychiewicz. Panstwo jest wspólnym dobrem wszystkich obywateli bez wzgledu na ich wyznanie, narodowosc czy przekonania. Polska nie jest wyłączna własnoscia katolikow, jakkolwiek bylby oni liczni. Haslo Polak-katolik ma swoja piekna tresc, gdy mowi o wiezi miedzy tym narodem a wiara Kosciola. Ale ma i swoja zla tresc, gdy zaczyna dzielic, gdy ludzi innych wyznan czy tez niewierzacych ustawia jak gdyby jako obywateli drugiej kategorii. Wiemy przeciez dobrze, ze jest w srod nas wielu ludzi, ktorzy nie sa katolikami, a ktorzy sa dobrymi, a nawet wspanialymi Polakami, i wielu katolikow, ktorzy swojej polskosci zaszczyciu nie przynosza. Pomijam juz fakt, ze znowu takimi wspanialymi katolikami to moze nie jestem. Czy trzeba przypomniec - jak, mimo przywiazania do wiary i praktyki religijnej, wyglada nasze zycie rodzinne, stosunek do pracy, stosunki miedzy ludzkie? Katolicy nie maja prawa narzac innym swoich przekonan, narzac im symboli, ktore powinny laczyz, a moga dzielic.

Owszem, chcialbym by Polska byla panstwem katolickim, lub - jesli kto woli - chrzescijanskim. W tym sensie, ze jego obywatele wierzacy w Chrystusa beda zyc i dzialac zgodnie z nakazami Ewangelii, ze swoim zyciem beda dawac swiadectwo wierze, ze z szacunkiem i tolerancja beda sie odnosic do ludzi innych przekonan, ze beda troszczyc sie o los ludzi biednych i pokrzywdzonych, ze beda bronit praw wszystkich ludzi i wszystkich wspolnot (w tym takze mniejszosci narodowych), ze w trosce o dobro wspolne beda razem ze wszystkimi budowac panstwo sprawiedliwosci i wolnosci, budowac spoleczenstwo braterskie i solidarne.

Jerzy Turowicz

Z KRAJU

KOSZTY
ROZIROPNOSCI

Na polskiej drodze odchodzenia od komunizmu zabrakło wyrazistego momentu przełomu.

Kompromis zawarty rok temu przy "okrągłym stole", choć budził tak wtedy, jak i dziś wiele wątpliwości, okazał się nadzwyczaj trwały. Był bowiem rzadkim w naszych dziejach najnowszym przykładem ugody, która - w ostatecznym rachunku - opłaciła się obu stronom. Niedawna opozycja wyniosła do władzy, a ludziom dotychczasowego obozu rządzącego umożliwiła "miękkie lądowanie" w nowej rzeczywistości politycznej. Krytycy porozumienia "okrągłego stołu" zapominają chętnie o realiach czasu, w jakim zostały zawarte, patrz na tę ugodę przez pryzmat drugiej połowy 1989 roku i rewolucyjnych zmian, które zaszły w całym bloku wschodnim. Na przełomie marca i kwietnia nikt - jak sadze - nie przewidywał, że stoimy u progu rozpadu imperium sowieckiego. Jeżeli dziś formułuje się zarzuty pod adresem tamtej ugody, niestety słuszne, warto przyrzec się drodze, jaką przebyła Solidarność, by dojść do "okrągłego stołu" - to ona bowiem wyznaczała perspektywę tworców porozumienia.

Początkiem tej drogi był 13 grudnia 1981 roku. Czy był on sukcesem komunistów? Choć Solidarność przegrała pierwsze starcie, to - wbrew nadziejom władzy - nie dała się zepchnąć do przedsierniowych wymiarów grupy dysydentów. Przez wszystkie pogrudniowe lata była stale obecna na scenie publicznej, jeśli nie jako wielomilionowy ruch związkowy, to w każdym razie jako siła potencjalna, przeciwstawiająca się "normalizacji" na wzór Czechosłowacji po 1968 roku.

Jaruzelskiemu nie udało się powtórzyć manewru Gierka z 1971 roku. Nie uzyskał niezbędnego minimum społecznego zaufania, bez którego kraj można spacyfikować, ale nie sposób kierować ludzką energią w pożądanym kierunku. W wyniku stanu wojennego system utracił resztki swoich zdolności mobilizacyjnych.

Mimo upływu lat konflikt między władzą a społeczeństwem trwał, choć po 1983 roku rzadko przybierał postać ulicznych demonstracji. Niewiele zresztą czyniono, by go zająć. Drastyczne represje policyjne i agresywna propaganda przyniosły efekt odwrotny - wzmocniły wole oporu, przydawały ruchowi bohaterów i meczenników. Taktyka wojny podjazdowej ze społeczeństwem zepchnęła w cien nigdy nie wyrażona otwarcie strategie ugody.

Ślady tej strategii można odnaleźć zarówno w pewnej powszechności represyjnej, jak i w kolejnych amnestiach dla uwięzionych działaczy Solidarności. Zwalniano więźniów politycznych, nie towarzyszyły jednak próby stworzenia takiego obszaru działań publicznych, na którym mogłaby się rozwinąć niezależna aktywność społeczna; jeśli nawet nie nastawiona na współpracę z władzą, to przynajmniej nie skierowana przeciwko niej. Tu tkwiło źródło nie wygasającego konfliktu. Zablokowana - na płaszczyźnie legalnej - energia społeczna, musiała znaleźć ujście gdzie indziej, była skazana na walkę z systemem.

W rezultacie polityka władz przypominała swoiste falowanie represji i amnestii, następujących po sobie prób łagodzenia konfliktu i nowych aktów terroru. Uparta odmowa dialogu z Solidarnością zamykała władze w pułapce oblezionej twierdzy. Komunisty na próżno szukali z niej wyjścia, budując fasadowe instytucje *porozumienia narodowego*. Nie było innej drogi niż próba kompromisu z autentycznymi siłami społecznymi.

Kiedy to przekonanie doszło do głosu w kierownictwie PZPR? Istotnym sygnałem dla władzy musiała być zaskakująca porażka w listopadowym referendum z 1987 roku. Dopiero jednak wydarzenia roku 1988 zmusiły komunistów do przewertowania dotychczasowej polityki. Wobec strajków majowych zastosowano jeszcze dawną metodę selektywnego użycia siły, któremu towarzyszyły ustępstwa placowe. Ta droga nie udało się jednak na długo spacyfikować nastrojów, ani rozbić odradzających się struktur Solidarności w zakładach pracy.

Druga, znacznie potężniejsza fala strajków, która wybuchła 15 sierpnia, skłoniła wreszcie władze do dialogu. Rozmowy przygotowawcze do spotkania "okrągłego stołu" toczyły się cała jesień. Nic jeszcze, jak się wydaje, nie było wówczas przesadzone. Komunisty wciąż wahały się przed decydującym krokiem w stronę legalizacji Solidarności. Bieguny tych wahań wyznaczała z jednej strony decyzja o likwidacji Stoczni Gdanskiej, a z drugiej zaproszenie Walesy do udziału w telewizyjnej dyskusji z Miodowiczem.

Dopiero styczniowe plenum KC PZPR jasno wypowiedziało się za zniesieniem ograniczeń w tworzeniu nowych związków zawodowych. Jaka była nowa strategia władzy? Jej cel zawarty został *expressis verbis* w stanowisku najwyższego gremium partii: *Komitet Centralny widzi potrzebę i możliwość włączenia do systemu politycznego konstruktywnej opozycji*. Szło więc o to, by wbudować skłonna do kompromisu część opozycji w dotychczasowy porządek. Cena tej operacji miała być legalizacja Solidarności. Opozycja ze swej strony miała zapłacić udziałem w *niekonfrontacyjnych* wyborach, a tym samym legitymizować ustroj w nieco tylko zmienionej postaci.

Obrazy "okrągłego stołu" potwierdziły - mimo rozlicznych kontrowersji - uzgodniony wcześniej projekt kontraktu. Obie strony deklarowały zadowolenie z osiągniętego porozumienia, inaczej wszakże

rozkładając akcenty. Dla Solidarności najważniejsza była legalizacja związku oraz - zgodnie ze słowami Walesy - *osiągnięcie niezbędnego minimum dla wkroczenia na szlak przemian demokratycznych*. Komunistów cieszyła perspektywa wyborczego zwycięstwa i wynegocjowana pozycja prezydenta. Gwarantowało to - jak mogło się wydawać - utrzymanie władzy w ciągu najbliższych czterech lat, aż do następnych wyborów.

Miażdżący sukces Solidarności z 4 czerwca boleśnie zweryfikował te nadzieje. Opozycja była również zaskoczona. Dynamika procesu uruchomionego przy "okrągłym stole" przerosła obie strony kontraktu. Jak skomentować wyborcze zwycięstwo, nie naruszając jednocześnie osiągniętej dwa miesiące wcześniej równowagi? - zastanawiała się opozycja. Koncepcja "wasz prezydent, nasz premier", publicznie sformułowana przez Adama Michnika, była próbą rozwiązania tego dylematu. Projekt wzbudził zasadnicze opory u znacznej części opozycyjnej elity. Za wcześniej - odpowiadano najczęściej Michnikowi. Jeszcze 14 lipca na łamach "Tygodnika Solidarności" polemizował z nim Tadeusz Mazowiecki. W miesiąc później był już premierem.

Rząd, na czele którego stanął człowiek Solidarności, zmienił zasadniczo układ sił w Polsce. Jeśli dodac do tego fakt upadku komunistycznych reżimów w niemal wszystkich krajach Europy Wschodniej, zasadne się wydaje pytanie o to, czy umowy "okrągłego stołu" nie uległy już przedawnieniu. Idzie - rzecz jasna - nie o litere ugody kwietniowej, lecz o jej ducha. Jeżeli zapis tamtego porozumienia jest już dzisiaj dokumentem historycznym, to jego polityczny fundament, jakim była koncepcja "koalicji proreformatorskiej", jest wciąż obecny w myśleniu o szansach polskiej demokracji.

Echo tej koncepcji odnaleźć można w rozważaniach na temat zagrożeń nowego ładu. Przyszłość jest w nich opisywana często pod postacią alternatywnych dróg rozwoju sytuacji. Jedną z nich - *hiszpańska* - wiedzie poprzez kompromis reformatorów komunistycznych z opozycją i adaptację do nowego ładu części dawnego establishmentu. Druga, zwana *iranska*, polega na radykalnym, rewolucyjnym przełomie, który niszczy wprawdzie dotychczasowy porządek, lecz zastępuje go nowa forma dyktatury nacjonalistycznej.

Spokojna analiza polskiej sceny publicznej 1990 roku nie daje podstaw do tak alarmującej prognozy. Nie ma na tej scenie żadnej poważnej siły politycznej, zmierzającej do gwałtownego wywrocenia *status quo*. Przeciwnie, rząd Mazowieckiego cieszy się powszechnym poparciem, a jego nieliczni oponenci formułują swoją krytykę nader ostrożnie. **Słabością naszego życia politycznego jest raczej niedowład społecznej aktywności, którego źródłem jest ewolucyjny charakter przemian. Na polskiej drodze odchodzenia od komunizmu zabrakło**

bowiem wyrazistego momentu przełomu, który wyzwoliłby w ludziach poczucie radykalnego zerwania z przeszłości. Takie są koszty ewolucji: wyeliminowała ona groźbę gwałtownego przewrotu, ale też pozbawiła proces zmian energii ruchu społecznego, który byłby motorem rewolucji. Tu leży przyczyna powszechnej bierności - ludzie dostrzegają zmiany, lecz nie czują się ich autorami

Polityka rządu, konsekwentna, lecz powolna, uwikłana w wielorakie kompromisy, które stały u jego narodzin, nie uwzględniła w stopniu wystarczającym potrzeby rozbudzenia obywatelskiego zaangażowania, bez którego demokracji zbudować się nie da. Co więcej, rząd niebezpiecznie rozmięka się w opinia publiczną, nie podejmując również radykalnych jak w sferze gospodarczej, posunięć w kwestiach likwidacji Służby Bezpieczeństwa, odzyskania majątku dawnej PZPR czy rozbięcia nomenklatury. Wokół tych własnie, nie tkniętych reformami obszarów, wyładują się społeczne emocje, i trudno się temu dziwić. Dziwić się natomiast można wyraznej obawie przed uruchomieniem politycznej aktywności Polaków, nieobcej, jak mi się wydaje, elitom dawnej opozycji. Leku o radykalny czy też nieracjonalny kierunek, jaki mogą przybrać społeczne i narodowe rewindykacje, nie potwierdzają doświadczenia ruchów masowych ostatniej dekady. Postawy skrajne były w nich tylko marginesem, gorowała nad nimi zawsze zasada *samoograniczającej rewolucji* - owa polityczna roztropność, która nie pozwalała na przekroczenie granicy oddzielającej ryzyko od szalenstwa, zdeklarowana obrona własnych racji od ślepego na rzeczywistość hasła *wszystko lub nic*.

Dzięki temu właśnie Solidarność była ruchem skutecznym, jak mówił Lech Wałęsa w Kongresie USA. Co osłabia owa skuteczność dzisiaj? Co przeszkadza w dalszej drodze do Polski wolnej i demokratycznej? **Oprócz ruiny gospodarczej kraju barierą taką stanowią, jak sadzę, wciąż obecne w strukturach państwa relikty starego porządku - ta część dawnego obozu władzy, która w wyniku kompromisu "okrągłego stołu" zachowała swoje prerogatywy i nadal kontroluje ważne obszary życia publicznego.** Nie poddaje w wątpliwość zasadności zawartej rok temu ugody. Porozumienie "okrągłego stołu" spełniło swoje zadanie - w sposób łagodny i bezkrwawy wyprowadziło Polskę z obrotu komunizmu. Dzisiaj potrzebna jest nowa, nie uwieczniona w ramach *historycznego kompromisu* z reformatorami *ancien régime* wizja przemian, która da ludziom większą niż dotąd szansę kształtowania demokratycznego oblicza kraju.

Jan Skorzyński

Tygodnik Solidarność nr 14 z dn. 6 kwietnia 1990

TWARDO DONIKAD ?

Marcin Oblicki

Jest wiele dobrych powodów, aby z coraz większym niepokojem obserwować obecną politykę gospodarczą. Operacja antyinflacyjna udala się, to prawda, ale czy aby pacjent nie umarł?

RECESJA

Niektórzy powiadają: *nie dzieje się jeszcze nic złego*. W gospodarce rynkowej taka deflacyjna operacja wywołuje lawinę bankructw, a tymczasem w Polsce pod rządami Balcerowicza nikt jeszcze nie upadł, z wyjątkiem może kilkuset rzemieślników. Czy aby "kuracja wstrzasowa" nie jest jednak zbyt łagodna? Te obawy i niepokoje nie mają uzasadnienia. Jak w dobrze wyreżyserowanym spektaklu po akcie pierwszym - styczniowym szoku cenowym, po akcie drugim - recesji, nastąpi i akt trzeci - fala bankructw w prawdziwie amerykańskim stylu z lat trzydziestych. Nie wiadomo tylko, czy nastąpi to już w kwietniu, czy na to emocjonujące widowisko przyjdzie nam trochę poczekać. Logika programu stabilizacji jest jednak nieublagana, a wynika ona oczywiście z filozofii tego programu. Jego konstrukcja wspiera się bowiem na następującym założeniu: inflacja w gospodarce postkomunistycznej ma charakter popytowy, to znaczy, wynika z systemowo uwarunkowanej "nadprodukcji" popytu konsumpcyjnego i inwestycyjnego nad podażą. Są trzy generatory tego typu: 1) niekontrolowany wzrost wynagrodzeń pracowników, wynikający z "przejadania" zysku w przedsiębiorstwach państwowych; 2) ekspansja kredytowa banków; 3) deficyt budżetowy.

Te trzy źródła popytu mają z technicznego punktu widzenia jeden skutek: nadmiar pieniądza w obiegu. Przyjęcie popytowo-pięniężnej teorii inflacji oznacza zatem odrzucenie teorii kosztowej, która tłumaczy inflacyjny wzrost cen stałym, niezależnym od producentów, wzrostem kosztów produkcji.

Z takiego rozpoznania sytuacji nie wynika jeszcze w sposób jednoznaczny terapia. Możliwe są bowiem dwa rodzaje działań: stopniowe albo radykalne. Te pierwsze polegają na tym, że uderza się sukcesywnie w kolejne źródła popytu, zaczynając np. od wynagrodzeń. Strategia taka ma ten przynajmniej

skutek, że nie "rusza" się kosztów produkcji.

Program Balcerowicza, zgodnie z sugestiami zachodnich ekonomistów, przyjął jednak formę radykalną: uderzenia we wszystkie trzy źródła popytu - płace, kredyty i budżet.

Istotą takiego programu jest wykonanie jednocześnie dwóch posunięć: zduszenia popytu i ogromnego zwiększenia kosztów produkcji (dewaluacja, przeszacowanie majątku, likwidacja dotacji, stopa procentowa), a co za tym idzie, cen. Dalo to skutek "piorunujący": 40 procentowy spadek popytu i 100 procentowy wzrost kosztów w styczniu i lutym spowodowały załamanie rynków zbytu i ograniczenie produkcji. Recesja nie jest zatem tylko i wyłącznie wynikiem nieefektywności i nieumiejętności dostosowania się do nowych reguł gry nieruchomości sektora państwowego, jak to usiłuje tłumaczyć prostoduszna propaganda. Objęła ona również sektor prywatny, który trudno podejrzewać o celowe zawyżanie kosztów i minimalizację zysku. Recesja jest wynikiem określonej polityki, której na imię "socialistyczny" popyt (płace) i "kapitalistyczne" koszty (ceny).

MONETARYZM a la NBP

Polityka taka ma swój wyraz pieniężny. Wyraża się on w dezycyderacie utrzymania "produkcji" pieniądza na możliwie niskim poziomie - znacznie poniżej stopy inflacji. Jest to zgodne z ilościową teorią pieniądza, której współczesna odmiana stworzył M. Friedmann. W myślniej teorii, o poziomie cen decyduje ilość pieniądza w obiegu. Relatywne zmniejszenie masy pieniądza (gotówki, depozytów a *visa* i depozytów terminowych) spowodować powinno spadek cen, o ile nie wzrosnie jednocześnie szybkość jego obiegu (o to jednak każdy, kto zetknął się z polskim



Z KRAJU

systemem bankowym, może być spokojny).

Teoria ilościowa na gruncie naszej gospodarki nie chce się jednak sprawdzać. Miesięczne wskaźniki inflacji w okresie ostatniego półrocza (wrzesień - luty) nie wykazują żadnego związku ze stopą wzrostu pieniądza. Ograniczenie jego dopływu do gospodarki nie wpływa w ogóle na poziom cen. Za to manipulowanie ilością pieniądza (na które, w naszych warunkach, bank centralny ma sto i jeden sposobów) daje efekty uboczne: przyczyniło się w niemalym stopniu do pogłębienia zatorów płatniczych, zjawiska mającego negatywne skutki dla całej gospodarki (nie tylko dla ewidentnych bankrutów) i nie pozostającego bez wpływu na skalę recesji.

ŚRODEK CZY CEL ?

Obecna skala recesji nie wywołuje jednak w kregach rządowych większego zaniepokojenia. Główna troska rządu wydaje się, w tej chwili, scisła realizacja tzw. kryteriów wykonawczych, uzgodnionych z MFW w ramach programu dostosowawczego. Podstawowe znaczenie ma tu kilka wskaźników: limit wzrostu plac, poziom zadłużenia budżetu w bankach, poziom kredytu dla jednostek gospodarczych i stan rezerw dewizowych. Utrzymanie tych wskaźników wymagać może manipulowania parametrami, np. kolejnego, znacznego podniesienia stopy procentowej w NBP, jeśli banki kreować będą nadmierny kredyt. Niewatpliwym sukcesem programu Balcerowicza jest osiągnięcie stanu sterowalności gospodarki za pomocą kilku prostych narzędzi: kursu walutowego, cen, stopy procentowej, współczynnika niopodatkowanego wzrostu plac. Jest to sukces, udało się bowiem osiągnąć to, o co bezskutecznie zabiegano kilka poprzednich ekip, stosując środki bez wątpienia mocniejsze, nakazowo-rozdzielcze. Ale tych narzędzi używać można w różnych celach. Wskaźniki uzgodnione z MFW w grudniu, po trzech miesiącach mogą już być nieaktualne, a ich scisła realizacja powodować dalsze duszenie gospodarki. Prominentni przedstawiciele rządu stanowczo odrzucają jednak możliwość korygowania "w biegu" tych wskaźników. Ich zdaniem oznaczałoby to bowiem powrót do hiperinflacji. **Oznacza to pośrednio przyznanie się do tego, że osiągnięta stabilizacja na rynku ma charakter pozorny i sztuczny, że prowadzona polityka nie likwiduje systemowych źródeł inflacji, a nawet je pogłębia (większa recesja w przemyśle rynkowych niż w sektorze produkcyjnym), oraz że jej utrzymanie wymaga stałej ingerencji państwa w gospodarkę za pomocą wskaźnika plac, poziomu kredytów i kursu walutowego.** Trudno się zatem dziwić, że R. Krawczyk w wywiadzie dla "Rzeczpospolitej" zarzuca czynnikiem decyzyjnym, iż ich polityka wzmacnia, a nie osłabia etatyzm, choć

realizowany nieco innymi metodami niż w gospodarce centralnie kierowanej.

RYNEK A RESTRUKTURYZACJA

Największą sprzecznością aktualnej strategii gospodarczej jest próba oddziaływania metodami typowo kapitalistycznymi na podmioty niekapitalistyczne, czyli przedsiębiorstwa państwowe. Ich działanie nie jest oparte na kryterium maksymalizacji zysku, ale - maksymalizacji funduszu plac, nie są wdzięcznym adresatem takiej polityki. Ich reakcje dostosowawcze są na to aż nadto wymownym dowodem. Z drugiej jednak strony, jeśli nie ma się żadnego sensownego pomysłu na ich szybkie zastąpienie nowymi podmiotami gospodarczymi, o ile zresztą w nowoczesnej gospodarce jest to w ogóle możliwe, nie należy chyba prowadzić polityki utrudniania im życia za wszelką cenę.

Żupełnym nieporozumieniem wydaje się przyjęcie zasady "restrukturyzacji przez mechanizm rynkowy". Już dziś widać, że zasada ta, konsekwentnie realizowana, przyniosłaby w pierwszej kolejności upadek przemysłu lekkiego i spożywczego, zachowałaby natomiast w dobrej kondycji przemysł środków produkcji i dobr inwestycyjnych. Dzieje się tak, ponieważ "rynek" jest w dalszym ciągu konstrukcją przypadkową. "Przypadkowy" jest kurs dolara, ceny podstawowych surowców, koszty użytkowania gruntów i nieruchomości, nade wszystko zaś "przypadkowa" jest cena pracy. Ułomny mechanizm rynkowy będzie narzędziem równie ułomnej restrukturyzacji. Brak nowoczesnego systemu prawnego, instytucji obiegu pieniądza i rynku dóbr kapitałowych (a stworzenie tego wszystkiego wymaga lat) wzmacniać będzie ten efekt. Miast ku gospodarce rynkowej, podażać będziemy co najwyżej ku jej karykaturze. To nie jest dylemat "co najpierw". Działacze muszą jednocześnie w kilku kierunkach.

Państwo musi mieć plan restrukturyzacji, obejmujący rozpoznanie tych branż i przedsiębiorstw, które stana się lokomotywami gospodarki, tak z punktu widzenia eksportu, jak i rozwoju rynku wewnętrznego. Musi być prowadzona świadoma polityka ich ekspansji - preferencje kredytowe, inwestycyjne i podatkowe, jak i świadoma polityka likwidacji branż i przemysłów niekonkurencyjnych, energo- i kapitałochłonnych, będących kolosalnym obciążeniem dla ledwo żyjącej gospodarki.

Na zarzut, że taki wybór będzie mieć charakter arbitralny i przypadkowy, można odpowiedzieć chyba tylko tyle, że znacznie bardziej przypadkowy będzie wybór dokonany przez ułomny, niepełny rynek.

Plan restrukturyzacji obejmować musi zarówno sektor prywatny, jak i państwowy. Jeśli zakładamy, że ten ostatni długo jeszcze będzie odgrywać ważną rolę, bezsensowna jest polityka "im gorzej (dla niego), tym lepiej". Potrzebna jest natomiast konsekwentna demonopolizacja tego sektora i jego komercjalizacja, aby działał on w tych samych rygorach prawnych, co sektor prywatny i ze wszystkimi tego kon-

sekwencjami.

Plan restrukturyzacji obejmować musi również świadoma polityka rozwoju sektora prywatnego, nie tylko i może nawet nie przede wszystkim przez prywatyzację sektora państwowego, ale przez powstanie tysięcy małych i średnich firm jako przeciwwagi dla zmonopolizowanej struktury produkcji, która nie stanie się bardziej efektywna tylko dlatego, że zostanie sprywatyzowana. Rozwoj taki musi być wspomagany przez państwo, być może przez samorządy terytorialne, w przeciwnym razie jego dynamika będzie niewielka i słabo odczuwalna.

INGEROWAC W STRUKTURĘ

Nie jest prawdą, że rząd nie prowadzi polityki interwencjonizmu. Tyle tylko, że jest to interwencjonizm szczególny. Polega on na manipulowaniu parametrami ekonomicznymi bez ingerowania w stare struktury gospodarcze. Trwa więc eksperyment poddawania twardym regułom gry postkomunistycznej gospodarki w nadziei, że z poczwarą wyklucze się motyl. Ale próżne to chyba nadzieje. Czy nie lepiej byłoby zatem odwrócić te logiki i ingerować w struktury, nie tylko w parametry? W końcu nawet M. Friedmann przestrzegł przed polityką manipulowania podażą pieniądza, radząc po prostu ustalenie stałej stopy wzrostu, która pozwoliłaby podmiotom gospodarczym racjonalnie planować swoje zachowanie.

Marcin Oblicki

Tygodnik Solidarność nr 14 z dn. 6 kwietnia 1990

NIE ZDAZYMY ?

Ja wiem, że wszystko co robimy jest słuszne. Ja wiem, że nie zdziemy To nie jest najostrejsze zdanie, jakie Waleś skierował do premiera i Klubu Obywatelskiego. Ale to zdanie wiernie oddaje niepokój i zniecierpliwienie, tak łatwe do zauważenia w Solidarności.

Nastroj spotkania był zwarzony i pełen napięcia. Mała aula Wydziału Fizyki na Hożej świeciła lysinami - obserwowalem to po raz pierwszy od momentu powstania Komitetu Obywatelskiego przy Przewodniczącym Solidarności. Dwadzieścia parę nowych osób, przyjętych do Klubu (od Ryszarda Bendera do nowych władz związkowych regionu Mazowsze) nie mogło zapelnąć oczywistych braków i prawie manifestacyjnych absencji (najbardziej rzucająca się w oczy nieobecność Bronisława Geremka została usprawiedliwiona wyjazdem zagranicznym).

Ta sala najwyżej reagowała na próby utrzymania dotychczasowego status quo; wszelkie propozycje zmian (najważniejsze sformułował sam Waleś oraz Zdzisław Najder i Jan Olszewski) nie wzbudzały entuzjazmu. Trudno przewidzieć, czy jest to jakis prognostyk i

znak czasu, ale odczuwałem wyraźnie dwa rytmy myślenia i dwie postawy wobec przemian w kraju i przyszłej roli Komitetu.

Pierwsza postawa określa tempo przemian w Polsce jako niewystarczające. Istnieją napięcia między ostrożną i sentymentalną polityką rządu wobec starego systemu władzy a ciężarem przemian ekonomicznych, który musiała na siebie przyjąć większość Polaków. Trzeba zrownoważyć dysproporcje między pobliżnością nowej władzy wobec prób zachowywania starych przywilejów a wielkimi wymaganiami, jakie stawia przed narodem program ekonomiczny rządu. Wymiar polityczny tej postawy to zadanie przyspieszonych wyborów parlamentarnych i niezgodna na wykorzystanie Solidarności jako jednego monopolu organizacyjnego i jednej opcji ideowej.

Dla Komitetu oznacza to trzy rzeczy jednocześnie. Znaczne poszerzenie platformy ideowej i politycznej. Konieczność rozdzielenia funkcji wszystkich dublujących się struktur. OKP i Komitetu. Struktury OKP mają służyć sprawnej realizacji jednej, wynegocjowanej przez parlamentarzystów, polityki. Organizacja Komitetu sprzyjać musi dialogowi i dyskusjom pomiędzy różnymi opcjami i grupami interesu. Na koniec wreszcie konieczność takiej polityki finansowej, by nikt nie był ani uprzywilejowany, ani dyskryminowany. Po raz pierwszy mówiono o tych sprawach głośno i otwarcie. Nie wzbudzało to przesadnych zachwyto-

Drugą postawę najpełniej chyba wypowiedział Jerzy Turowicz z "Tygodnika Powszechnego", a najdramatyczniej bronił jej premier (*Nie zmienimy młodej polskiej demokracji w polskie piekło: swarów, konfliktów i walki*). To postawa umiarkowania i ostrożności, bez względu na napięcia, które narastają w społeczeństwie. Niepokój Turowicza wywołuje tendencja do gwałtownego przyspieszenia, podczas gdy polska scena polityczna jest niedojrzała. Turowicz używał sformułowań: "siły odsrodkowe", "roszczenia władzy różnych grup i grupcezek politycznych".

Jezeli istniały kiedyś nadzieje, że Komitet stanie się zalazkiem jednej formacji politycznej (wypowiadał takie sugestie zarówno Zbigniew Bujak, jak Andrzej Wajda), to pewnie należa już do przeszłości.

Jedno nie podlega chyba dyskusji. Stary układ "okrągłego stołu" wiąże ręce politykom i społeczeństwu. Jego moc przestaje obowiązywać. Pytanie, czy przesilenie zachodzące wśród elit politycznych Klubu Obywatelskiego, pozwoli skonstruować platformę uzgodnioną, czy Klub ulegnie dezintegracji i podziałom.

Walesa, formułując po raz kolejny postulat pluralizacji polskiej sceny politycznej i ujawniając po raz pierwszy, co oznacza to w praktyce dla Klubu Obywatelskiego, tworzy na niej miejsce nie tylko dla partii politycznych.

Maciej Zalewski

Tygodnik Solidarnosc nr 14 z dn. 6 kwietnia 1990

EMBRION RYNKU

Kiedy handlowiec staje się klientem - nagle wykazuje zdrowy rozsadek.

Przeżyliśmy pierwszy miesiąc w nowej rzeczywistości i w nowej podwójnej roli: obserwatora i obserwowanego. W formie preparatu wijemy się pod mikroskopem jednocześnie uważnie patrzac w jego szkielko. Sami na sobie badamy odporność na wstrząsy i zdolność do ograniczeń.

Przejadaliśmy się czy nie dojadamy? Szacuje się, że spozycie spadło mniej więcej o jedną trzecią. Wyciszzone w grudniu polki w połowie stycznia znowu wypełniły się towarem: odporność bowiem badają także handlowcy i producenci sami ciagle impregnowani na wiedzę o prawach rynku. Trudno wys-

ledzić mechanizmy podwyżek: nie uwłaczając armii księgowych, nie podejrzewam ich jednak o biegłość, która w ciągu tygodnia pozwoliłaby skalkulować i przeliczyć wplyw podwyższonej stopy kredytowej na kostkę cukru, podwyższenie ceny prądu na plasterki baleronu, a benzyny na dziesięć deko drożdży. Tym trudniej, nawiasem mówiąc, rozgrzyść mechanizmy obniżek. Dlaczego coś tanieje o sto tysięcy a nie o sto jedenastcie, o pięćset złotych a nie o pięćdziesiąt?

Wrzuceni w rynkowy kocioł producenci i handlowcy kierują się intuicją, która najpierw podpowiedziała: nachapac się. W koncu udało się nam dogonić świat: 18 stycznia na giełdzie paryskiej tona cukru kosztowała 420 dolarów (czyli kilogram niespełna pół dolara). W Rotterdamie za litr oleju (po przeliczeniu według kursów NBP) płacono 3857 zł i 57 groszy, w Polsce zaś - za pół litra 4200 zł. Sierpniowe pseudourynkowanie niestety niczego nikogo nie nauczyło: uda się wkleić klientowi schab za 40 tys., chleb za 4 tys., cukier za 8 tys. - Nie udaje się... W zabawie w ciuciubabkę na razie góra jest klient. Kiedy

po godzinach pracy przestaje być jednym z producento-handlowców i staje się nabywca - wykazuje zdrowy rozsadek i umiejętność kalkulacji.

Polski embrion rynku opanowały zjawiska, które zachodnich, nieoswojonych ze Wschodem ekonomistów mogłyby wprawić w stan głębokiego szoku. Bo jakim cudem - na przykład - bardziej opłaci się przywiezienie do miasta 500 kilogramów cukru "nyska" niż 5 ton ciesarowka? Albo dlaczego wedlina produkowana przemysłowo jest droższa od chalu-pniczej, skoro powinno być odwrotnie. My jednak rozumiemy to czego oni zrozumieć by nie mogli. Handel z wozu, z łezaka, ze stolika kempingowego, ze skrzynki jest signum stycznia 90. Wyrażając ubolewanie z powodu odeuropeizowania polskiej ulicy (o ile kiedykolwiek była ona europejska), a także druzgocącego upadku higieny z ogromną satysfakcją patrzę na ogonki przed bieda-stoiskami niedźnie wyglądających konkurentów takich gigantów jak "Społem" czy "Poldrob", bo oni właśnie są szczelina coraz szersza, coraz bardziej niebezpieczna...

MIESNY DOW JONES

Z podobną uwagą, z jaką na Zachodzie obserwuje się wskaźnik Dow Jones, w Polsce śledzi się wskaźnik wzrostu cen kaszanki. Ale o ile z Dow Jonesa można wysnuć wnioski, o tyle kaszanka jest zupełnie niemiernarodajna. Nie można rozgrzyść dlaczego swinia polnocna jest tansza od południowej, dlaczego

schab kosztuje 19 tys. przy granicy wschodniej i 29 tys. przy zachodniej? Dlaczego za parówki na Dolnym Mokotowie płaci się 18 tys. za kilo, zaś na Gornym ten sam producent sprzedaje się o 4 tys. taniej. Bywają wszak na świecie kraje większe niż Polska i miasta większe niż Warszawa, gdzie ceny nie rozbiegają się tak drastycznie...

Polak spuścił z tonu, znieubił szynkę oraz poledwice. W koleje po drobiowe podroby ustawiają się osoby, które w ustach nie miały nigdy nic poniżej befsztykow i homarów, które nie ponizły się dotąd konsumpcja salcesonu albo podgardlanej. Ubranie w odrzuty z cedetu gosposie z satysfakcją udziela damom wskazówek jak "to-to" można przyrzadzić ("wyplucze paniusia i w jarzynę").

A MOWIEM MU ŻEBY
NIE STAKAŁ SIĘ ZROZUMIEĆ
ZASAD NASZEJ GOSPODARKI!



Z KRAJU

Prasa centralna i terenowa podaje dramatyczne komunikaty: w woj. gdańskim spożycie mięsa spadło o 30 procent i w łódzkim też o 30 proc. Jeżeli porównania te dotyczą końca minionego roku, w którym spożycie spadło o 30 procent w stosunku do lipca, można powiedzieć, że zbliżamy się do idealow diety jogow, w której przeważają korzonki. Szczególnie, że według statystyki Polak zawsze był mniej miosozerny niż zachodni, nawet obozowi sąsiedzi.

Pierwsze dni stycznia nauczyły chłopca, że odprowadzanie zwierzęcia na rzeź jest równie emocjonujące jak gra w ruletkę. Telewizja nawet pokazywała takich, którzy przez brak refleksu (albo jego nadmiar) stracili (albo zyskali) setki tysięcy na jednym zwierzęciu osobniku. Cena żywności skoczyła do 7,5-8 tys. za kilogram, ale wobec wegetarianskiego nastawienia miasta spadła, a sygnały z terenu mówią, że chłopci odchodzą z punktów skupu ze swinią.

Brak popytu skłonił do myślenia wytwórców mięsa i wedlin zatkniętych własnymi wyrobami. Najprostrzym sposobem rozładownia miesnych zatorów jest, ich zdaniem, pojscie w ślady konkurencji, czyli zerwanie z handlem stacjonarnym i przejście na obwozny. Bo kalkulacja cen wyrobów - twierdzą na przykład w zakładach miesnych na Służewcu przygotowujących się do jeżdżenia z kielbasą po mieście - są mało elastyczne, dają małe możliwości oszczędzania. Czy to kilogram parówki (9 tys. w zbyciu), czy poledwicy (42 750 tys.) struktura ceny przedstawia się podobnie: surowiec i przyprawy stanowią 79 procent, place 0,6 proc., koszt wydziałowy i ogólny 1,9 proc., koszt sprzedaży i transportu 3,5 proc., zysk 15 proc. Nie wiadomo doprawdy dlaczego produkowana automatycznie ze zmielonego drugiego gatunku kielbaska w plastiku pochłania procentowo tyle samo robocizny i energii co wedzona poledwica, ale może kiedyś sytuacja się wyklaruje.

SPRZEDAC WAWEL

Krakowianie już przyzwyczaili się, że zakupy robi się przed halą targową przy ul. Grzegorzeckiej, a nie w jej wnętrzu. Codziennie od samego rana hala należąca do "Spolem" otoczona jest rozmaitymi "handlującymi pojazdami". Tutaj też swoją ciężarówkę z towarami przysyłają Zakłady Przemysłu Cukierniczego "Wawel". Duże pudło "Czekoladek deserowych", które w krakowskich sklepach ma cenę 21.450, tu można nabyć za 16.500, paczkę kakao zamiast za 2600 zł tylko za 2 tysiące. Mimo że są to ceny hurtowe i sprzedawca odbywa się bez marży, kolejek nie widać. Zakłady "Wawel" zamieniają teraz dwa stare autobusy na ruchome sklepy ze słodyczami, które będą wkrótce krążyły po Krakowie. Jeden z nich zostanie prawdopodobnie przekazany zakładowej organizacji NSZZ "Solidarnosc", a drugi działowi socjal-

nemu. Marza ma wynosić 2,5 proc. handel państwowy bowiem stosuje najprzeróżniejsze fortele, aby nie odbierać towaru i nie płacić należności. Magazyny "Wawelu" są pełne, a handlowcy zalegają z wypłatami 20 mld złotych.

W przemyśle cukierniczym przyczyna kłopotów jest znaczne zmniejszenie się

Powodem tak znacznej zmiany cen wyrobów cukierniczych są kilkakrotnie większe ceny surowców. Szczególnie zaś astronomiczna cena cukru i opakowań, które podrożały pięciokrotnie. Do tego dochodzi wysoki kurs dolara, cło, podatek obrotowy i wysokie marże handlowe. Na przykład "Wawel" sprzedawał handlowi czekoladę pełną "Jagiellonska" po 3200 zł, a w sklepach ma ona cenę 4570 zł.

Przy takich cenach surowców zupełnie nieopłacalny stał się eksport. "Wawel" realizuje jeszcze zobowiązania eksportowe, gdyż posiada zapas surowców zakupionych w ubiegłym roku, ale nasza czekolada kosztuje w sklepie pół dolara, gdy dokładnie za taką samą cenę można na Zachodzie kupić czekolady u tamtejszych hurtowników.

CO PIJE CPN

Na stacjach benzynowych klient stał się osobą pozadaną. Innymi słowy osiągnęliśmy sytuację o jakiej kilka miesięcy temu trudno było nawet marzyć. Oczywiście przyczyną takiego stanu rzeczy są ceny. Zatankowanie "malucha" to prawie 50 tysięcy złotych, a dużego fiata - około 100 tys.

Sprzedaw benzyny spada. Andrzej Galczyński - dyrektor do spraw handlowych CPN mówi, że w pierwszych 20 dniach stycznia, w porównaniu z analogicznym okresem ubiegłego roku obroty wyniosły 73,8 proc. W okresie tym sprzedano (znowu w porównaniu z rokiem ubiegłym) 77 proc. benzyny 94-oktanowej, 68 proc. benzyny 86-oktanowej i 75 proc. oleju napędowego. CPN nie dysponuje dokładnymi danymi dotyczącymi spadku sprzedaży oleju silnikowych, ale dyrektor Galczyński ocenia, że obroty zmniejszyły się o 20 proc.

Benzyna trafiła więc na bariery popytu, a zapotrzebowanie na nią mniejsze jest nie tylko ze względu na cenę, ale również z powodu znacznego wzrostu kosztów utrzymania i eksploatacji samochodu. Znacznie na przykład skoczyły nie tylko podatki i ubezpieczenia, ale również ceny olejów silnikowych "Super Plus" kosztuje obecnie 16 200 zł za litr, a "Specjal" 11 300 zł sprzedawany luzem, 11 200 w opakowaniu. Można nawet powiedzieć, że bardziej atrakcyjne cenowo stały się dla zmotoryzowanych oleje importowane. Na przykład za 5-litrową bankę "Castrolu" płaci się 12 dol. i 10 centów, czyli litr kalkuluje się w granicach 2,5 dol., a więc nieco ponad 20 tys. zł. Biorąc pod uwagę, że jest to olej lepszy od polskiego, per saldo opłaca się używanie go w eksploatacji samochodu.

Dorota Bernhardt i inni

Przegląd Tygodniowy nr.5 (410)
z dn.4 lutego 1990 roku.

POWROT BEZPIEKI ?

Kiedy w Polsce skończyła się władza komunistów? Czy - jak nas zapewniała w TV Joanna Szczepkowska - w dniu wyborów do parlamentu 4 czerwca 1989 r? Czy wówczas, gdy ten parlament skreślił w konstytucji zapie o przewodniej roli partii komunistycznej? Czy wreszcie wtedy, gdy sama partia proklamowała uroczyste zakończenie swojej historycznej misji?

Mimo tych wszystkich historycznych wydarzeń wielu obywateli żywi wątpliwości, czy komuniści rzeczywiście wypuszcili władzę z rąk. Są to zapewne ludzie, którzy dobrze pamiętają, jak sprawowanie władzy pojmowali klasycy bolszewizmu. Lenin określał władzę państwową jako *specjalną machine do dławienia jednej klasy przez drugą, przy tym większości przez mniejszość. Na czym głównie polegała siła? Na specjalnych oddziałach uzbrojonych ludzi, którzy mają w swym rozporządzeniu więzienia...* ("Państwo i rewolucja"). Lenin wiedział, co pisze. Istotne komunistycznych rządów uosabia nie parlament, administracja czy wymiar sprawiedliwości; nawet nie partia i jej nomenklaturowy aparat, tylko *specjalne oddziały uzbrojonych ludzi*, czyli policja. W różnych odmianach i pod różnymi postaciami. Z tego punktu widzenia dla systemu komunistycznego prawdziwa godzina próby następuje dopiero teraz, gdy na porządku dziennym prac ustawodawczych sejmu i senatu znalazł się zespół projektów dotyczących MSW, MO i SB.

Gwoli przypomnienia i przestrogi wypada w tym miejscu poświęcić trochę uwagi wydarzeniom z października 1956r. Wszystko zdawało się wtedy zapowiadać koniec rządów policyjnych w ustroju "realnego socjalizmu". Partia oczyszczała się gorączkowo z błędów i wypaczeń stalinizmu. Sądownictwo i prokuratura powracały do swych normalnych funkcji. Bezpieka była w rozsypce. Prasa publikowała ciągle nowe rewelacje o jej zbrodniczych praktykach. Społeczeństwo głośno domagało się rozrachunku ze sprawcami krzywd i satysfakcji dla ich ofiar. Za murami urzędu bezpieczeństwa wrzało. Szeregowi bezpieczeństwa atakowali swoich szefów za dawne przestępstwa i obecny oportunizm. Szefowie deklarowali chęć odnowy i dyskretnie wskazywali na podwładnych jako na ciemny, betonowo-komunistyczny żywiol zagrażający procesom demokratyzacji ustroju. W takiej sytuacji Gomułka, sam niedawny więzien polityczny, cieszący się wówczas jeszcze większym poparciem społeczeństwa niż dzisiejszy premier Mazowiecki, postanowił dokonać radykalnej reformy resortu bezpieczeństwa. O ponad 2/3 zredukowano ilość personelu. Pozostali w służbie najbardziej lojalni, otwarci na zmiany, najmniej skompromitowani. Komitet

ds. Bezpieczeństwa rozwiązano. Jego zreorganizowane placówki terenowe pozbawiono samodzielności i włączono do odpowiednich komend MO. Zlikwidowano rozbudowane siatki konfidentów. Przez 2 - 3 lata społeczeństwo prawie nie odczuwało żadnego policyjno - politycznego nacisku. Potem powoli wszystko zaczęło wracać do komunistycznej normy. Stopniowo odbudowywana SB obejmowała swoją kontrola coraz to nowe obszary i środowiska. Wznowiono werbunek "informatorem społecznym". Odżyła praktyka rozmów ostrzegawczych, dyskryminacji paszportowych, politycznego sekowania niepokornych. W 1968r aparat policyjny był już tak mocny, że mogli podjąć rozgrywkę z samym Gomułką. Warto, żeby o tamtych doświadczeniach pamiętali ci, którzy dzisiaj podejmują próbę adaptacji odziedziczonych po PRL służb policyjnych dla potrzeb "demokratycznego państwa prawnego", jakim ma być - wg artykułu i Konstytucji - Rzeczpospolita Polska.

Czy taka próba ma w ogóle szanse powodzenia? Resort MSW w swym obecnym kształcie jest klasycznym produktem leninowskiej teorii państwa rewolucyjnej dyktatury, w którym rządziła w imię wymyślonych doktrynalnych założeń mniejszość usiłowała zdławić naturalne dążenia ogromnej większości rządzonych. Machina do dławienia tej większości prowadziła rodzaj nieustannej zimnej wojny domowej z własnym społeczeństwem, obfitującej zresztą w liczne gorące epizody (żeby wspomnieć tylko czerwiec 1956 i 1976 lub grudzień 1970 i 1981). Cecha charakterystyczna tej konfrontacji było zwrócenie i pomieszanie dwóch frontów walki z wewnętrznym "wrogiem klasowym" i zewnętrzną "agencją imperialistyczną". W optyce komunistycznych służb policyjnych każdy cudzoziemiec (oczywiście poza obywatelami bratnich krajów socjalistycznych) był naturalnym przeciwnikiem ustroju, a każdy własny dysydent czy opozycjonista - co najmniej potencjalnym szpiegiem i agentem. Dlatego w strukturach organizacyjnych tego aparatu zadania wywiadu, kontrwywiadu oraz ochrony wewnętrznego porządku państwowego były tak splecione, że tworzyły prawdziwy absurd z punktu widzenia jakichkolwiek racjonalnych procedur, stosowanych przez służby specjalne w każdym normalnym kraju. W praworządnym państwie jest nie do pomyslenia, aby minister spraw wewnętrznych kierował sieciami agentów działających tysiące kilometrów poza granicami kraju. Tak samo jak niedorzeczny wydaje się pomysł, aby "antypaństwowymi" poczynaniami dziennikarza, który publikuje swoje politycznie niesłuszne artykuły z pominięciem cenzury, zajmowali się funkcjonariusze kontrwywiadu. W państwie komunistycznym są to normalne policyjne praktyki. Przed paru laty np. minister spraw wewnętrznych PRL oficjalnie witał na warszawskim lotnisku funkcjonariusza swego resortu powracającego z USA po chlubnym wypełnieniu bliżej nieokreślonej "misji specjalnej". Natomiast o pracy naszego kontrwywiadu długie opowieści mogłoby snuć z własnych niedawnych

wspomnień działacza pewnego zdelegalizowanego wówczas związku zawodowego.

To z pozoru tak dziwne "roznych materii pomieszanie" ma określone konsekwencje dla metod i stylu działania całego aparatu bezpieczeństwa. Wywiad i kontrwywiad uprawiają wszystkie państwa. Ale wszędzie też jest to dziedzina, w której ściśle stosowanie norm prawa uważa się za nadmierny luksus. Praworządny wywiad to albo karykatura wywiadu, albo karykatura praworządności. W tej dziedzinie obowiązują wszędzie bardziej zasady wyższej racji państwowej niż przepisy państwowego prawa. W państwie praworządnym, gdzie policja, także policja polityczna, poddana jest nadzorowi prokuratury i kontroli niezawisłych sądów, służby wywiadowcze trzymają się od niej jak najdalej. W totalitarnym systemie komunistycznym jest przeciwnie: to one nadają swój specyficzny styl organom ochrony bezpieczeństwa wewnętrznego: styl konspiracji, prowokacji, politycznej intrygi. Kto chce się o tym przekonać, może sięgnąć po świadectwo najbardziej



miarodajne: wspomnienia wiceministra spraw wewnętrznych PRL, gen. Władysława Pozogiego.

Jeśli przyszyły status MSW ma odpowiadać charakterowi państwa prawnego, o którym mówi konstytucja, trzeba temu resortowi przywrócić kompetencje odpowiadające jego nazwie. W drugiej Rzeczpospolitej MSW to był urząd sprawujący kierownictwo nad administracją terenową. Policja państwowa była tylko jedną z galezi tej administracji. Dzisiejsze popeerelowskie MSW nie jest ministerstwem administracji, tylko ministerstwem policji. I taki charakter zachowuje w projekcie przedstawionej parlamentowi ustawy. Na dobrą sprawę jedyne przewidziane tam dla tego urzędu pozapolicyjne zadanie, to nadzór nad strażą pożarną. Czy rzeczywiście rządzie RP potrzebne jest ministerstwo, będące prostą kontynuacją niesławnego stalinowskiego MBP?

Jeszcze dwie cechy tego projektu muszą budzić niepokój. Pierwsza - to jego blankietowy charakter. Szczegółowy zakres działania szefa resortu, statut organizacyjny jego urzędu, wykaz

podporządkowanych mu jednostek organizacyjnych, w tym także wojskowych, oraz podległych przedsiębiorstw, będą uregulowane w przyszłości decyzjami rządowymi.

Druga niepokojąca cecha projektu, to zakres dyskrecjonalnej władzy ministra spraw wewnętrznych. W dysponowaniu zasobem poufnych informacji, gromadzonych w jego resorcie, według własnego uznania może on *zezwalać pracownikom, funkcjonariuszom i żołnierzom resortu SW na udzielanie informacji, stanowiącej tajemnicę państwową lub służbową, określonej osobie lub instytucji*. Tylko informacje *mogące mieć istotne znaczenie dla bezpieczeństwa państwa* jest obowiązany przekazać do wiadomości prezydenta RP i prezesa rady ministrów. Ale o tym, co jest istotne, a co istotne nie jest, będzie decydował oczywiście on sam.

Projekty ustawy o policji i o urzędzie ochrony państwa dotyczą przekształcenia dwu głównych galezi aparatu policyjnego PRL: milicji obywatelskiej i służby bezpieczeństwa. Generalnie biorąc, reforma ta będzie polegała na wykonaniu odwrotności zabiegu, któremu zostały poddane po październiku 1956r.

Gomułka zlikwidował samodzielność UB i włączył je organicznie w skład MO. Po pewnym czasie okazało się, że bezpieczeństwo zdominowało strukturę, która miała okiełznać jego samowolę, i obecnie nowi reformatorzy, dla uzdrowienia sytuacji, znow jej od siebie radykalnie oddzielają. Wspólna pozostaje tylko "czapka" - nadzór nad obydwioma instytucjami zachowuje MSW.

Zamysł przekształcenia MO w przyszłą policję wydaje się realny i otrzywał w miarę sensowny kształt legislacyjny. Można się oczywiście kłócić o szczegółowe rozwiązania, ale byłaby to juredyczna kosmetyka.

Inaczej jest w wypadku projektowanego urzędu ochrony państwa. Będzie on zorganizowany w ciągu trzech miesięcy od dnia wejścia w życie ustawy przez ministra spraw wewnętrznych na podstawie etatów, mienia, dokumentów oraz bazy kadrowej SB, która jednocześnie ulegnie rozwiązaniu. Jakie będą zasady weryfikacji funkcjonariuszy przechodzących do pracy w nowym urzędzie - ustawa nie mówi. Będzie to więc określały arbitralne decyzje ministra. Taka sama procedura "bezpiecznickiej pierestrojki" zastosował w 1956r Gomułka. Rezultaty już znamy.

Można się jednak obawiać, że nowy urząd przejmie z dobrodziejstwem inwentarza nie tylko personel, ale także specyficzne zadania i struktury swojej poprzedniczki. Art. I projektu ustawy mówi, że do zadań urzędu ochrony państwa należy m.in. *Rozpoznanie i przeciwdziałanie zagrożeniom, godzącym w bezpieczeństwo, obronność, niezależność i całość państwa*. To brzmi ładnie, ale nie mówi niczego konkretnie na temat rzeczywistych funkcji tego urzędu. Nieco więcej prawdy ujawniają dwa inne ustawowe zapisy. Art.2 ust.1 wspomina, że *zadania przewidziane dla urzędu ochrony państwa wykonują także służby wywiadu i kontrwywiadu, podległe ministrowi obrony narodowej*. A art.6 ustawy o MSW

Z KRAJU

zapowiada, że na wniosek ministrów spraw wewnętrznych i obrony narodowej **szczegółowy rozdział kompetencji pomiędzy policję, urząd ochrony państwa, straż pożarną i straż graniczną oraz wojskowe organy porządkowe, wywiad i kontrwywiad podległe MON i zasady ich współdziałania** ustali prezes rady ministrów.

Wątpliwe, czy premier Tadeusz Mazowiecki wie, jaki pasztecik szykują mu projektodawcy tych przepisów. Włączenie w jeden kompetencyjny melanz wywiadu, kontrwywiadu i straży pożarnej może wydawać się plodem mimowolnej biurokratycznej satyry. Sądze jednak, że rzecz jest poważniejsza. W ten oto sposób próbuje się ratować strukturę organizacyjną, wywodzącą się z innej epoki i opartą na znanych, komunistycznych wzorach, które powinny odejść bezpowrotnie w przeszłość wraz z formalną likwidacją SB.

Za taką intencją projektodawców przepisu przemawia jeszcze jeden znamienity fakt. O ile w policji zostają przywrócone specyficzne dla niej, nawiązujące do przedwojennej tradycji stopnie służbowe; aspiranta, komisarza, inspektora, o tyle w odnowionym aparacie bezpieczeństwa utrzymano nadal tytułaturę wojskową, łącznie z rangami generalskimi dla wyższych funkcjonariuszy tej służby.

Trudno wyobrazić sobie, by mogli to być generalowie bez armii. Czy jednak dla ochrony demokratycznego ładu państwowego przydatna jest ta sama armia **uzbrojonych ludzi** wyposażonych w uzbrojenia, która Lenin uważał za niezbędną dla dławienia wrogiemu wobec totalitarnej władzy społeczeństwa? W takim systemie siła państwa mierzy się siłą policji. W ustroju demokratycznym siła władzy polega na sile i trwałości infrastruktury społeczeństwa obywatelskiego. W Polsce taka infrastruktura dopiero zaczynamy tworzyć. Jest jeszcze watała i niezbyt pewna swego.

Jan Olszewski

Tygodnik Solidarnosc nr 15 z dnia 13 kwietnia 1990

AMBASADOKLATURA

Udało się nam poznać dziewięć nazwisk spośród 19 odwołanych ambasadorów. Wiemy też o trzech nowych ambasadorach, a także znamy kilku przedstawicieli "wysokiej nomenklatury" którzy przetrwali na placówkach zagranicznych

W połowie stycznia min. Skubiszewski powiedział w Sejmie, że wystąpił o "odwołanie 19 ambasadorów obsadzonych przez ludzi spoza resortu spraw zagranicznych: sekretarzy KC lub

KW PZPR, ministrów lub wiceministrów innych resortów, znalazł się tam nawet wiceprezes Centralnego Związku Spółdzielni Mleczarskiej".

Kodeks pracy i obyczaje dyplomatyczne uniemożliwiają natychmiastową wymianę ambasadorów. Dochodzi więc do paradoksów. Wizyte premiera Mazowieckiego w Londynie przygotował i obsługuje ambasador Zbigniew Gertych, piewca stanu wojennego.

Odwołani przez ministra ambasadorzy mieli wracać do kraju 31 marca. Gen. Józef Baryła - po uwzględnieniu jego odwołania - wrócił z Syrii dopiero w końcu roku. Ambasador w Zimbabwie, Mirosław Dackiewicz (w końcu lat siedemdziesiątych w organizacjach młodzieżowych, w stanie wojennym awans do KC i posada zastępcy kierownika wydziału zagranicznego) się całe metry teleksów z Afryki, mające odzwierciedlać jego aktywność. Informuje np., że w czasie spaceru w ogrodzie wraz z ambasadorem RPA dokonał wnikliwej oceny i analizy przemówienia prezydenta RPA. W MSZ pracownicy śmieją się również z jego oświadczenia, że nie przyjmuje do wiadomości odwołującego go pisma dyrektora departamentu, gdyż mianował go prezydent i tylko ten może go odwołać.

Z Madrytu odwołano wieloletniego szefa sportu Mariana Renke, z Jugosławii Tadeusza Porebskiego, z Libii - wiceprezesa spółdzielczości mieszkaniowej i ministra budownictwa - Stanisława Kukurykę, Jerzego Kuberskiego z Watykanu, Włodzimierza Mokrzyńskiego z Pragi i Janusza Obodowskiego z Berlina, z Albanii Władysława Ciastonia (przełożonego morderców ks. Popieluszki).

Z konsulatury w Moskwie, Minsku, Kijowie, Lwowie odwołano badcz cofnięto nominację generalom: Obiedzkiemu (kwaterymistrz LWP), Polkowskiemu, Nowakowi (wiceminister obrony narodowej) i Zenczykowskiemu (BOR).

W polskim MSZ niechętnie udziela się informacji o odwołaniach (bo zony jeszcze nie wiedzą) i dlatego nie poznaliśmy wszystkich nazwisk. Min. Skubiszewski prosił natomiast, aby o nowych nominacjach obce rządy nie dowidywały się z polskiej prasy. Powtorzyliśmy tylko za "Polityką" o nominacji do Londynu Tadeusza de Viriona (znanego obroncy w procesach karnych i politycznych), osiadłego w Belgii Jana Kulakowskiego na ambasadora RP przy Wspólnocie Europejskiej w Brukseli. W Belgii natomiast ambasadorem został były minister handlu zagranicznego i spraw zagranicznych, wielokrotny ambasador Tadeusz Olechowski.

Kto się uchronił?

Był szef PAP i Radiokomitetu, Janusz Roszkowski pozostaje w Kopenhadze. Na Kubie - był szef sztabu ludowego WP, Wojciech Baranski. W Pekinie pozostanie Marian Wozniak (sekretarz KC, I sekretarz KW w Warszawie).

W Atenach ambasadorem jest były zastępca kierownika wydziału KC Janusz Lewandowski. Również "Greka udaje" jako radca tamtejszej placówki Ryszard Frelek (sekretarz KC).

NASI SASIEDZI

Polska i Niemcy - sąsiedzi od zarania ich dziejów

Od chwili otwarcia granicy między dwoma państwami Niemiec w listopadzie ub. roku stała się sprawa nowego ułożenia stosunków polsko-niemieckich niezwykle pilna. Wkrótce będzie miała Polska znowo do czynienia z drugim co do wielkości państwem Europy, ze zjednoczonymi Niemcami. Znowo będzie Polska, siódmy kraj w Europie, tkwiła między największymi państwami - ZSRM a Niemcami. Możliwość powstania państw buforowych między Polską a Sowietami jest znikoma. Litwa, jeśli utrzyma się, skróci tylko o ok. 88 km granicę z "Krajem Rad", czy przyszyliśmy nieznanym jeszcze tworem, pozostanie 1156 km. Zatem na wschodzie bez zmian. A na zachodzie?

Granica na Odrze i Nysie Łużyckiej nie jest ostateczna, odpowiada szereg polityków zachodnio-niemieckich z kanclerzem H. Kohlem na czele. Stwierdzenie to jest w różny sposób wypowiadane, lecz jedno jest im wspólne, chęć i nadzieja na jakies zmiany przebiegu granicy. Jest to więc rzeczywisty rewizjonizm terytorialny, czemu nie należy się dziwić ani narzekać, tylko spróbować dać właściwą odpowiedź.

Odpowiedzieć można albo w tradycyjny jak zwykle sposób, lub podchodząc do zagadnienia zupełnie inaczej niż dotąd to czyniono. W obu wypadkach nie należy zapomnieć o historii stosunków polsko-niemieckich. Nie są one bynajmniej naznaczone głównie przez wojenne zmagania. W świadomości narodowej jednakże tkwią przede wszystkim wojny. Wielowiekowe okresy pokoju nie znajdują w zasadzie odbicia w podrecznikach i powieściach historycznych.

Ilu Polaków pamięta, że ostatnia wojna z Cesarstwem (Rzymsko-)Niemieckim miała miejsce w 1156 roku? Zagarniecie Spisza i Nowo-Sadeczczyzny w 1769 oraz tzw Galicji i Lodomerji w 1772 odbyło się bez wystrzału.

Później, po 1156 zmagala się Polska lub jej części bądź tylko z Brandenburgią bądź z Zakonem Krzyżackim, którego podstawowy obszar państwowy nawet nigdy nie był częścią Rzeszy. Ponadto podlegał on i nadal podlega jego pozostałość w Bad Mergentheim/RFN bezpośrednio papieżom. Niemiecki charakter utracił Zakon już w czasie bitwy pod Grunwaldem, zaś w czasie Wojny Trzynastoletniej był on już kosmopolitycznym.

Przez długie wieki była polska granica zachodnia najtrwalsza w Europie. Jej przebieg na odcinku slasko-wielkopolskim ustalili się w latach 1343/8 a na brandenbursko-wielkopolskim w 1368. W 1466 zakonczyły się zmagania o Pomorze Gdanskie. Podczas gdy na wschodzie, a szczególnie na południowym wschodzie (tam gdzie Ta-

tarzy, Turcy czy Kozacy siedzieli) wieki całe płonęło, na zachodzie panował spokój. Dopiero rozbiory zmieniły stosunki całkowicie.

Czy są zatem nasze narody i państwa skazane na nieprzyjazność? Ile jest prawdy a ile propagandy w twierdzeniu o odwiecznej wrogoci?

Odległe czasy wpływają mniej na świadomość historyczną niż nowsze wydarzenia. Dlatego też czasy od rozbiorów poczynając wycisnęły najmocniejsze piętno na stosunkach polsko-niemieckich. Jednak również w tych czasach miały miejsce wydarzenia świadczące o poprawności tych stosunków w pewnych dziedzinach.

Konstytucja z 3go Maja 1791 ustanowiła dziedzicznych królów z panującego domu saskich Wettynów. Toteż Księciem Warszawskim został w 1807 roku rządzący w Saksonii elektor Fryderyk August (1763-1827) wnuk króla Augusta III Sasa (1733-1763). Bohater wojny w 1792 i bratanek króla, późniejszy marszałek Francji Józef Poniatowski był wychowankiem armii Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. Henryk Dąbrowski był przez lat 20 oficerem saskiego wojska, a jego matka (Letow-Vorbeck) i żona to Niemki. Antoni Radziwiłł spowinowacił się zaraz po trzecim rozbiore z Hohenzollernami żeniąc się z księżniczką Luiza, ciotką pruskiego następcy tronu. Rok później stał się Radziwiłł pociotem Fryderyka Wilhelma III króla Prus.

Nie mogło zatem wówczas między Niemcami a Polakami panować uczucie wrogoci. Wiecej nawet, w czasie Powstania Listopadowego ogarnęła Niemcy fala sympatii i solidarności z Polską. Podobne nastroje rozpowszechnione były w czasie Wiosny Ludów. Ludwik Mierosławski, skazany w 1846 na śmierć, został w marcu 1848 uwolniony z więzienia w Berlinie i obwozony w triumfie po mieście. Miesiąc później dowodził już w Powstaniu Wielkopolskim. Również Powstanie Styczniowe cieszyło się dużym poparciem w Niemczech, gdzie znany pisarz Gottfried Keller kierował wielką akcją pomocy powstańcom, zaś Niemcy z Królestwa i ze Śląska uczestniczyli licznie i czynnie w Powstaniu. Długa jest lista nazwisk polonizujących się czy już spolonizowanych Niemców z pochodzenia, którzy odegrali wybitną rolę w polskim życiu XIX wieku. Przykładem niechaj będzie: Lelewel, Pol, Krauthofer-Krotkowski od 1848- , Libelt, Dietl, Aweyde, Giller, Hauke, Lempke, Ruprecht, Schwarze, Traugott. Również wielu Polaków germanizowało się i poczynali zajmować poczesne miejsca w Niemczech. W XX wieku nasiliło się to zjawisko. G. Adamowski był jako szef Wielkoniemieckiego Radia drugą osobą po Gobelisie w aparacie propagandy III Rzeszy.

Nie będzie więc przesadą stwierdzenie, że stosunki między narodami Niemieckim i Polskim były przeważnie dobre, czasami nawet przyjazne. Natomiast stosunki między państwami układały się znacznie gorzej. Na ostatnich 100-120 latach zaciążyło powstanie nowoczesnego nacjonalizmu. Doprowadziło to do zaos-

trzenia sporów w całej Europie. Nieliczni jednakże najwybitniejsi myśliciele przeciwstawiali ciasnemu nacjonalizmowi europejskość. Nietsche sztychł wręcz z niemieckiego zasciankowego nacjonalizmu, podkreślając stale, że jest dobrym Europejczykiem, a często ze i Polakiem. "Moi przodkowie to polska szlachta. Od nich mam w sobie dosyć instynktu rasowego." Ecce homo I,3. "Ja sam jestem wciąż jeszcze dosyć Polakiem, aby Chopina pozostała muzyką oddaną." Tamże III,7. Nie myśliciele jednak a takie wydarzenia jak Kulturkampf, pruskie rugi, strajki szkolne, wóz Drzymaly wpływały rozstrzygająco o postawie Polaków. Po pierwszej wojnie światowej nastąpiła walka o zachodnie granice przedewszystkiem w postaci Powstania Śląskich i Wielkopolskiego. W latach dwudziestych trwała wojna celna między Polską a Republiką Wajmarską. Liga Narodów była miejscem bezustannych wzajemnych skarg z powodu praw mniejszości i Gdanska od 1923 do marca 1934.

W zapomnienie poszła zgoda Niemców na polonizację Uniwersytetu Warszawskiego i utworzenie Politechniki w 1915 czy akt dwu cesarzy z 6 listopada 1916 o utworzeniu Królestwa Polskiego. A przecież w wyniku tego powstała Rada Regencyjna, która organizując cywilny zarząd "Kongresowski" stopniowo uniezależniała się, by 14 listopada 1918 przekazać pełnię władzy Piłsudskiemu. Niemcy, szczególnie Ludendorff pomogli Litwie uzyskać niepodległość w 1918 roku.

Przełom zapowiadał układ o nieagresji między Polską a Niemcami zawarty w styczniu 1934. Wielu współczesnym wydawał się on początkiem nowej pokojowej ery w stosunkach Polska-Niemcy. W kwietniu 1939 wypowiedziały jednak Niemcy ten układ. Druga Wojna Światowa zniweczyła wszelkie dotychczasowe wysiłki przyjaznego sąsiedztwa. Dotyczy to również wielkiego sąsiada od wschodu, który podobny układ o nieagresji przed ciosem w plecy 17 września bynajmniej nie wypowiedział. Jeszcze w 1934 został on do końca roku 1945 przedłużony.

Owego dnia Anglia i Francja zdradziły nie dotrzymując traktatowego zobowiązania przyjscia z pomocą napadniętej drugi raz Polsce. To zobowiązanie podjęła Anglia dopiero niecały miesiąc wcześniej, 24 sierpnia, i to z własnej inicjatywy. To nie Polska prosiła Anglię o pomoc, lecz Albion podsunał "gwarancje" Polsce. 17 września 1939 okazało się, że tzw. zachodnie demokracje coś innego miały na celu, niż obronę Polski zawierając z nią układy o wzajemnej pomocy. Pare dni wcześniej, na naradzie w Abbeville postanowiły Anglia i Francja nie rozpoczynać działań zaczepnych. Działan do których były zobowiązane i które mogłyby jeszcze Polskę od ostatecznej klęski w kampanii wrześniowej uratować, bowiem wielka bitwa nad Bzurą toczyła się wówczas. Zamiast udzielić napadniętemu sojusznikowi pomocy, rozpoczęła Francja tzw. smieszna wojnę-drole de guerre. Zemściło się to na niej okrutnie w maju 1940. W czasie owej wojny bez strzelania

rozłożyło się moralnie francuskie wojsko. Walny udział w tym mieli komuniści, którzy pierwsi nie chcieli "umierać za Gdansk". M. Thorez, szef KPF unaczynił to dezercją i ucieczką do najwierniejszego sojusznika Hitlera, do Związku Sowieckiego.

Dalszy rozwój wydarzeń ujawnił ostatecznie zamiary zachodnich demokratów wobec Polski. W grudniu 1943 na konferencji w Teheranie przyjęto zasadę podporządkowania Polski bolszewickiej dyktokomunie. We wrześniu 1944 na mało znanej naradzie rzeczoznawców w Londynie ustalono podział Niemiec wzdłuż linii, która do dziś obowiązuje. Niezależnie więc od przyszłych granic znalazła się Polska w sowieckim obozie. W lutym 1945 w Jaltie potwierdzono te ustalenia bez zmian, przyjmując równocześnie tzw. linie Curzona za podstawę wschodniej granicy Polski. Sprawy granicy z Niemcami ujęto bardzo mgliście mówiąc o znacznych nabytkach na zachodzie i polnocu. Protokoły Poczdamskie ustaliły zachodnią granicę w sierpniu 1945 nie ostatecznie, odkładając jej zatwierdzenie do przyszłej konferencji pokojowej. Postanowiono jednak jednocześnie wysiedlenie Niemców z byłych obszarów Niemieckich na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej, które zostają przekazane "pod zarządek polskiego państwa". Tym sposobem stworzono jatkąca się ranę dająca okazje wielkim mocarstwom do stalego wtrącania się w sprawy polsko-niemieckie. Moga one według ich uznania wygrażać Niemcy przeciwko Polsce i odwrotnie. W rzeczywistości nastąpił też w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych między Polską i Zachodnimi Niemcami okres wzmożonego napięcia. NRD udawała do niedawna, na rozkaz, dożgonnego przyjaciela. W tych latach odzywał w różny sposób duch paktu Hitler-Stalin. Drukowane wówczas w RFN mapy Europy przedstawiały Niemcy w granicach z roku 1937 a ZSRR z 1945. Poczynając od 1970 następowo stopniowo odprezienie trwające do dziś. Czy przetrwa ono rozpad systemu jaltanskiego? Ostatnie wypowiedzi polityków z obu państw Niemiec wskazują na dążność do poprawy stosunków z Polską. To są jednak tylko słowa, które w zmienionych okolicznościach również moga się mocno zmienić. Jak więc ułożyć sprawy polsko-niemieckie w trwały sposób? Zwąwszy, że polska gospodarka jest chyba w najgorszym stanie w całej Europie a niemiecka w najlepszym i do tego trzeci-osilna w świecie, istnieje całkiem rzeczywista możliwość podporządkowania jej Niemcom. To zaś otwiera drogę do nabycia czy oderwania dowolnych części Polski. Znany historyk angielski D. Irving wyraził ostatnio, w 45a rocznicę zniszczenia Drezna w lutym 1945 tamże poglądy że w ciągu pięciu lat Niemcy odzyskają przedwojenną granicę na wschodzie droga "marki za hektary". Ta droga są Niemcy w stanie również granicę z 1914 lub 1941 uzyskać. Lecz co dalej? Czy są Niemcy zdolni te ziemie zasiedlić? Co miałoby stać się z 13 milionami Polaków? Ze wszystkich ust w Niemczech płynie, i to nie od dziś, zapewnienia, że wypędzenia nie przewiduje się.

NASI SASIEDZI

Dotychczasowe kierunki przepływu ludności pozwalają wnioskować, że więcej Polaków przeniosło by się nad Rhen niż Niemców nad Odrę.

Wobec ubytku naturalnego w RFN od 1972, rokrocznie umiera tam do 300 000 ludzi więcej niż się rodzi, potrzeba powiększenia obszaru państwa jest co najmniej wątpliwa. W 1986 urodziło się tam tylko 600 000 dzieci, w tym 240 000 z jednego lub obojga rodziców cudzoziemców. Sprawa odzyskania polskich "ziem odzyskanych" jest dla Niemców dyktowana uczuciem, nie zimną kalkulacją. A uczucia te są potężną siłą również w polityce. Chęć postawienia na swoim, udowodnienia, że miało się rację, że dotąd działa się niesprawiedliwość mogą stać się napędem do działania na wielką skalę. Rozsadek wskazuje raczej na zaniechanie prób zmiany granicy od zaraz, lecz za lat kilka lub kilkanaście może zmienić się położenie demograficzne Niemiec.

Co może nastąpić wtedy? Czy znowu rozpoczyna się śmiertelne zapasy? Byłyby one trzecim i ostatnim krokiem obu narodów i zapewne Europy do samobójstwa. W tym miejscu zawodzi argumentacja do której przywykliśmy wszyscy przez ubiegłe sto czy więcej lat. Probujemy zatem spojrzeć na to pozornie nierozwiązywalne zagadnienie zupełnie inaczej. Zastanówmy się po pierwsze, czy groźba otwartego konfliktu czy zderzenia interesów czy wybuchu wrogości między Polską a Niemcami jest czymś wyjątkowym w Europie?

Otoż nie. Jeśli przyjrzeć się bliżej to Europa wydaje się składac z samych odwiecznych wrogów. Polacy mają oprócz Niemców za takich wrogów Ukraińców a może i Rosjan. Niemcy mieli obok Polaków jeszcze do niedawna Francuzów. Anglicy i Irlandczycy strzelają do siebie niemal bez przerwy w tym stuleciu. Hiszpanie i Baskowie czynią to samo. Włosi i Austriacy, Bułgarzy i Grecy czy Węgrzy i Rumuni, wśród których ostatnio znowu poląła się krew to dalsze pary "odwiecznych wrogów". Z zasady każdy kraj czuje się pokrzywdzony przez sąsiada i pragnie jakiegoś jego czeski.

Jak to przezwyciężyć? Czy jest to możliwe? Jak to dzieje się, że przeludniona zupełnie Europa zalewana jest milionami nieproszonych przybyszów z tzw. trzeciego świata? Jak długo jeszcze będzie można tę rosnącą masę wyżywić? Na to ostatnie pytanie odpowiedź brzmi: tylko niewiele lat. Rabunkowa gospodarka naturalnymi bogactwami powoduje, że każdego dnia spala się kopaliny, które odkładają się przez pięć tysięcy lat, każdego roku przez dwa miliony lat. Zapasy te skończą się wnet. Wtedy wybuchnie niesłychany kryzys ekonomiczny i energetyczny, który zmusi do parokrotne go zmniejszenia zużycia energii a tym samym do znacznego spadku wytwarzania żywności. Nie zapominajmy bowiem, że w słonecznej południowej

Afryce dla uzyskania 1 kal do spożycia zużywa się 3 kal energii, a w większości Europy 6 kal energii na nawozy, opryskiwanie, ciągniki czy nawet ogrzewanie szklarni.

Za lat kilkanaście lub trochę później będzie rolnictwo musiało zrównoważyć swoje nakłady energetyczne z dopływem energii słonecznej i jej pochodnych. Oznacza to ograniczenie spożycia i spożyców do 3, najwyżej 4 miliardów. A co zresztą? Kto dobrowolnie umrze z głodu, by inni mogli przeżyć? Chyba nikt.

Zatem walka o byt w niebywałych rozmiarach, porównywalna jedynie z walką jaką stoczyli nasi pra-pra-przodkowie z neandertalczykami. Dzięki zwycięstwu tych pierwszych istniejemy my. Kto zwycięży teraz? Dotychczasowy

rozwoj wydarzeń wskazuje, że Europejczycy prą do samozagłady. Jedni zachowują się jakby Europa była planeta sama w sobie i chcą stare wasnie, po raz ostatni - aby sprawiedliwość stało się zadose - mówi się zwykle, rozstrzygnąć. Inni popierają wszelkie antyeuropejskie poczynania i pomagają na wszelkie sposoby biologicznym wrogom białego człowieka. Może jednak opamiętają się jedni i drudzy i zawrócą z samobójczej drogi. Wspólnymi siłami białych narodów będzie można na nowy sposób urządzić naszą starą Ziemię. Wtedy z pewnością dadzą się polsko-niemieckie stosunki bezkonfliktowo, na nowych i trwałych podstawach uregulować.

Dr S.W.Potrzebowski

ABECADLO KISIELA

Według książki Stefana Kisielewskiego o tym samym tytule - Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1988r.

• • • • •

Jerzy Andrzejewski - znalazłem go chyba 55 lat, był to mój przyjaciel ale nie bardzośmy się lubili. Może to wynikało z różnicy usposobień i temperamentów. Prawdziwa pretensja miałem do niego o powieść "Popiół i diament", bo uważam, że ona zafalszowała obraz Polski bezpośrednio powojennej, że właściwie dała komunistom okazję, żeby wytłumaczyć sprawę trudną, np. AK w sposób nieprawdziwy - co mu zresztą mówili. Wynikło z tego tyle, żeśmy do siebie nie mówili w ogóle. Ale potem się z nim pogodziłem. On tej powieści nie odwołał, a młodzież dziś zdaje się uważać, że jest to powieść doskonała i wolnościowa. A Jerzego... Moja żona go bardzo lubiła, a ja go średnio lubilem. Ale był to nieprzeciętny człowiek, niewątpliwie.

Jakub Berman - nie znalazłem, nie widziałem, niewiele mam do powiedzenia poza jedną sprawą, jak uratowałem "Tygodnik Powszechny" i Zawiejskiego. Mianowicie jak była wojna koreańska to Berman wpadł na pomysł: zaprosił grupę literatów, których sam wybrał i powiedział, że każdy z nich musi napisać do jakiegoś pisarza na Zachodzie list protestujący przeciwko wojnie, przeciwko Ameryce. Zawiejskiemu wybrał Grahama Greene'a, że on ma do niego pisać. I pogroził mu, że to fatalnie wpłynie na Tygodnik i na wszystko, jeżeli on odmówi. Przyjeżdżam i mówią mi, że Zawiejski napisał, że to na pierwszej stronie idzie, już cenzura puszcza.... Ja to czytam... no, to było okropne! Bo on się napiał wodki, wpadł w histerię, i napisał szczerze, rzetelnie, że szwungiem, ale bzdury ni bywałe. Wiec ja mówię do Turowicza: "Słuchaj, blank... jeżeli to się ukazuje ja przestaję pisać w Tygodniku". On mówi: "Ale nie wyglupiaj się, przecież to już przeszło przez cenzurę

juz wiedza". Ja mówię: "Daje słowo honoru jeżeli to się ukazuje, koniec". No i wtedy Gołubiew się wtracił: "Słuchajcie, jeżeli Stefan daje słowo honoru, to musimy to poważnie traktować, musimy się naradzić". I zdzieli to w końcu na całe szczęście, bo byłoby po Tygodniku i po Zawieju....

Kazimierz Brandys - długie lata z nim dyakutowałem jako z komunistą i marksistą, znalazłem go jeszcze z czasów okupacji. Teraz się nawrócił i przeciwna funkcję spełnia. Nie bardzo go lubię, ale to jest kulturalny człowiek i bardzo dobry pisarz, chyba. A co jeszcze napisze to niewiadomo. Moim zdaniem jego książka "Między wojnami" obok "Popiołu i diamentu" i "Pamiętki z celulozy" jest właściwie najgorszym przejawem socrealizmu. Mówią, że "Obywatele" byli gorsi. Ja twierdzę, że "Między wojnami" jest gorsze. No ale się nawrócił i jest zupełnie inny.

Stefan Bratkowski - jest to pozytywna postać, choć mnie irytuje okropnie to jego zadecie spoldielczo-spolectno-pozytywistyczne, takie jakies naiwne. Zreszta zrobił do mnie aluzję w jednym ze swoich artykułów. Napisał, że nie lubi takich liberalow co się boja robotnikow i tylko licza na pieniadze. Ale muszę powiedzieć, że on ma szalony szwung i działa z przekonaniem, dzila na wszystkich frontach. Ja go jeszcze pamiętam jak redagował "Życie i Nowoczesność", dodatek do "Życia Warszawy", i z przekonaniem to robił. Jest to właściwie Polak z Dolnego Śląska, bo we Wrocławiu urodzony chyba, gdzie ojciec był konsulem. Wiem, że on się przyjaźnił z Osmanczykiem. Czasem go bardzo lubię, a czasem mnie potwornie drażni, tak na przemian.

Roman Bratny - znalazłem go słabo. Pisarz znany. Akowiec kiedyś, a potem przeciwnie. Podobno jak go przyjmowali do partii to się kajał, że on strzelał do komunistow, ale wierzył w to, a teraz chce odkupić winy. No i go przyjęli

NASZE PODWORKO

TUZ ZA MIEDZA

Przyjechalismy, niestety spoznieni, w piękne słoneczne przedpołudnie. Obszerne wnętrze kościoła było w połowie wypełnione wiernymi. Młody, przystojny ksiądz omawiał ogłoszenia parafialne. Była mowa o nabożeństwach, lecz także o szkole polskiej, bibliotece i pilce nożnej. Ta ostatnia od razu wyjaśniła pierwsze, nieodparte wrażenie sportowej sylwetki księdza. Msze Święta zakończyło choralne "Boże coś Polsko". Ludzie wychodzili wolno na zalane słońcem schody kościoła. Gromadzili się w grupki, rozmawiali. Może była to zasługa pięknej, optymizm budzącej pogody, ale wyczuwało się przyjazną atmosferę tego zgromadzenia - poczucie wspólnoty.

Cel naszej wizyty przypominała nam dobrze z daleka widoczna sylwetka, znanego nam z poprzedniej wizyty, pana Alberta. Zauważył nas po chwili w trakcie swojego "duszpasterskiego" obchodu różnych grupek Polaków. Poszliśmy razem z nim do zachrystii, gdzie ksiądz Bogdan Wilkaniec konczył ostatnie czynności gospodarza. Po chwili znaleźliśmy się w salce parafialnej, gdzie - przedstawiwszy się wzajemnie - ugoszczono nas kawą i ciasteczkami. Rozpoczęła się rozmowa, w której ja i redakcyjny kolega zadawaliśmy dużo pytań i słuchaliśmy ciekawych, rozszerzających temat odpowiedzi.

Spotkaliśmy się z panstwem lwona i Albertem Jochelsonami, panem Jackiem Fastynem oraz księdzem Bogdanem Wilkaniec. Wielka szkoda, pelen inicjatywy i werwy prezes Zjednoczenia pan Stanisław Wojtasik nie mógł być z nami.

Nie sposób, nie jest to zresztą moim celem, wspomnieć wszystkich tematów, które przewinęły się w rozmowie. Ograniczę się do dwóch, na pewno najważniejszych, wątków dyskusji:

- Jaka jest rola i sposoby działania nowoczesnego katolickiego duszpasterza w kształtowaniu, wspomaganie i jednoczeniu działań społecznych polskich na obczyźnie. Jaka jest i powinna być jego rola w pielegnowaniu polskich tradycji, podtrzymywaniu ducha i ciała ludzi, którzy znaleźli się na emigracji ze zwykłym bagażem frustracji, problemów i nostalgii.

- Jak można, dysponując dobrą wolą i inicjatywą, zorganizować w praktyce "Zjednoczona Polonia". Co jej członkowie - emigrantów przyciąga do wspólnego działania, do uczestnictwa w imprezach, spotkaniach i obchodach religijnych i świeckich. Jak stworzyć warunki wspólnego działania i dobrą przyjazną atmosferę.

Oba wymienione wątki: katolicko-tradycyjny i świecko-organizacyjny nie sposób całkowicie oddzielić, co wykazała nasza rozmowa, w której oba tematy przeplatały się wielokrotnie. Sprobuje jednak, dla uporządkowania i większej klarowności opisać je osobno. Na zakończenie, już wspólnie opiszę, niemałe jak Państwo zobaczycie, ich wspólne osiągnięcia.

KS. BOGDAN WILKANIEC - TOWARZYSTWO CHRYSZTUSOWE

Ks. Bogdan jest uroczym człowiekiem. Jest pelen zapалу i inicjatywy, jest dla mnie wzorem działacza społecznego w sutannie. Z drugiej strony jest przedstawicielem nowoczesnego duchowieństwa katolickiego - inteligentny, błyskotliwy a jednak refleksyjny, pelen werwy i jednocześnie przemyślanej rezerwy i dystansu. Uosabia dla mnie zmiany, które dokonały się w ostatnich dwóch, może więcej, dziesięciokach lat w polskim kościele katolickim: od populistyczno-włosciankiego, czasem niestety nieco prymitywnego (moim zdaniem) duszpasterstwa do duszpasterstwa intelektualnego, popartego wiedzą i praktyką działania. Duszpasterstwa w moim odczuciu misyjnego, skierowanego na pracę z wykształconym i bardziej wymagającym odbiorcą - współuczestnikiem.

Sięgamy do chronologii. Ksiądz Bogdan jest Chrystusowcem - członkiem Towarzystwa Chrystusowego. Towarzystwo to założył w Polsce kardynał August Hlond w 1932 roku. Generałem Chrystusowców jest ks. dr Bogusław Nadolski z Poznania. Towarzystwo posiada w świecie szereg prowincji. Południowa Afryka należy do prowincji australijskiej Towarzystwa z siedzibą w Sydney. Z Australii też przyjechał do Afryki, w 1982 roku, z wizytą ks. Zbigniew Pajdak. Po jego wizycie Towarzystwo rozpoczęło aktywną działalność w RPA. Przyjechali księza Kolodziej i Westfal - do Secundy i Vanderbijlparku. Po kilku latach przyjechał na miejsce ks. Kolodziej, ks. St. Marut, a następnie po jego śmierci ks. Lipski - początkowo do Secundy, a później do Pretorii.

W chwili obecnej, po przyjeździe ks. Wilkanca około półtora roku temu, pracuje w Południowej Afryce trzech księży Chrystusowców: ks. Stanisław Lipski - w Pretorii, ks. Jan Westfal - w Parrow Valley i ks. Bogdan Wilkaniec w Vanderbijlparku. Działalność ks. Westfala, a obecnie ks. Wilkanca w Vanderbijlparku to pasmo udanych inicjatyw oraz doskonałej, uzupełniającej się współpracy z miejscową organizacją polonijną - Zjednoczeniem Polskim w Vaal Triangle. Zjednoczenie to powstało jeszcze przed przybyciem pierwszych księży Chrystusowców, inicjatywa była zatem raczej świecka - polonijna. Trudno jednak zaprzeczyć, że od momentu przyjazdu ks. Westfala, a w szczególności po przybyciu ks. Wilkanca współpraca pomiędzy Polonia a Chrystusowcami ułożyła się w harmonijną, doskonałą uzupełniającą się całość.

ZJEDNOCZENIE POLSKIE W VAAL TRIANGLE

Zjednoczenie Polskie w Vaal Triangle, jako niezależna organizacja polonijna powstało w 1982 roku. Przed 1982 rokiem mieszkały tutaj trzy, może cztery rodziny, między innymi ogólnie znany i dotąd tu mieszkający pan Dezyderiusz Druzynski. W 1982 roku, głównie dzięki naborowi nowej polskiej emigracji do Sasolu, liczebność polskiej społeczności wzrosła do ponad stu rodzin. W tej sytuacji z inicjatywy panów: Dezyderiusza Druzynskiego, Leszka Konala, Alberta Jochelsona, Andrzeja Zięby i Piotra Bachurzewskiego - jako członków założyli powołano w dniu 16 kwietnia 1982 Zjednoczenie Polskie w Val Triangle - obejmuje ono trzy główne ośrodki miejskie: Sasolburg, Vereeniging i Vanderbijlpark. Różne i chyba burzliwe były początki Zjednoczenia. Dowiedzieliśmy się tego przy okazji pytania o statut organizacji. Okazuje się, że były próby zdemonstrowania członkowi autokratycznego stylu rządzenia organizacja - stad statut jest bardzo szczegółowy, mający ochraniać demokratyczne zasady i prawa członków.

Od kilku lat zarząd i członkowie pracują zgodnie, spierają się i dyskutują, lecz w duchu współpracy, dla wspólnego dobra. Jeśli dodamy do tego aktywna i uzupełniająca rolę ks. Bogdana, to myśle, że atmosfera i aktywności we wspólnym działaniu mogłyby pozazdrościć rodakom z Vaal Triangle inne organizacje polonijne, nie tylko w Południowej Afryce, ale i na całym świecie. Moje prywatne wrażenia są ujmujące - to bardzo inteligentni, czynni i uroczy ludzie, którzy z pasją tworzą nowe wartości, dla mnie wzorzec dla emigracyjnej działalności.

CO WSPÓLNIE ROBIA - IMPREZY, BIBLIOTEKA, SZKOŁA POLSKA.

Jak już wspomniałem, nie sposób oddzielić działalności Polonii w Vaal Triangle i ks. Wilkanca. Są to imprezy o charakterze świeckim i religijnym. Co roku uradza się tutaj wianki i Marzanne - tradycja odziedziczona po prekursorach Zjednoczenia. Do corocznych obchodów religijnych należą natomiast: nabożeństwa majowe, listopadowe święto zmarłych, droga krzyżowa, procesja Bożego Ciała, wszystkie gremialnie uczeszczone przez Polonie. Organizuje się okresowe spotkania biblijne.

Ostatnie obchody Świętego Mikołaja połączone z mszą polową zgromadziły tłumy - cała parafia, która składa się oprócz Polaków: z Portugalczyków, Irlandczyków i Afrykanerów i Anglików. Była to piękna i podniosła uroczystość.

Osobny rozdział stanowią niedzielne kazania księdza Bogdana - religia refleksyjna, która wymaga myślenia i wypracowania własnego stosunku do religii, rzeczywistości, postaw ludzkich i działań, moralności i światopoglądu. Parafianie zachęcają księdza gorąca, jak zauważyłem, do spisania treści tych kazań, dla ich późniejszej publikacji.

NASZE PODWORKO

Ksiadz jeszcze sie broni, ale kto wie...? We wspolpracy z ksiadzem powstala biblioteka polska - okolo 3000 tomow. Organizuje sie obozy dla mlodziezy. Od poltora roku istnieje szkola polska z programem: jezyka polskiego, nauki religii, geografii i historii Polski do ktorej uczeszcza okolo 50 dzieci. Organizuje sie gremialne wycieczki jaskiniowe do Lidequedriftu polaczone z piknikiem. Odbywaja sie mecze pilki noznej, dziala Klub Brydzowy - czlonek SA Bridge Association. Rozmachu w dzialaniu, jego roznorodnosc mozna naszym rozmowcom tylko pozazdroscic.

ZAKONCZENIE OPTYMISTYCZNE Z LEZKA

Dwie i pol godziny dyskusji zbiegly jak z bicza strzelili, a my zegnalismy sie z naszymi gospodarzami z poczucia, ze tutaj w stosunkowo niewielkiej grupie Polakow dokonano czegos bardzo wartosciowego. Bez szumnych hasel i pustoslowia pod nazwa "Jednosc Polonii" stworzono przyjazna, dobra atmosfere, gdzie cale polskie srodowisko, dobrze zoorganizowane, oczekuje z radoscia na kolejne polskie imprezy, spotkania, okazje. Mysle, ze osiagnieto tutaj wspaniala symbioze ludzkiego zaangażowania opartego na polskiej tradycji, szczegolnej i inspirujacej roli Kosciola - religii katolickiej, ktora nas laczy, oraz dobrych cech naszego dziedzictwa i rownowagi, z ktorego mamy prawo byc dumni.

Dla nas, odwiedzajacych bylo to bardzo krzepiace doswiadczenie. Nadszedl czas rozstania.

... Gdy wracalismy do Johannesburga, wraz z przebyta droga, coraz smutniej bylo nam na duszy ...

... Do czego wracalismy ? ...

K.A.Marski



Loza Szydercy

Wina majowego kwiatu

I znow maj... Slowiki i gwiazdy jak byki i księżyc..., ze w morde go lac (Galczynski). Powinno byc wiec o milosci. W ciagu ostatnich miesiecu szczegolnie nam ona obrodzila. Wylala sie szeroka struga, dotknela prawie wszystkich, wlasnie przybrala rozmiary epidemii. W milosnym uniesieniu patrzysz w oczy i widzisz zielone, niebieskie, zlote, lub wszystkie na raz, jak w kantorku.

Nastapil renesans jednej wielkiej milosci, milosci do pieniedzy. I wszystko to nie za sprawa bzu, ... "ktorem cholernie sie uwietrznil i mocny zapach skuteczniat"..., ale za sprawa Rzeczypospolitej, ktora uchylila kielicha dla wszystkich pszczołek (a co z trutniami?). Handlowac chce i probuja przetrzymac, od nome omen arendarza po arystokrate. "Pec(t)unia non O(m)let" jak mawiali starozytni.

Patryotyczni szmalownicy

Az sie wierzyc nie chce, ze w Polsce kiedys - "Wszystko bylo do d... oprócz koncowek do lewatywy" - teraz naraz mozna dostac naprawde wspaniale rzeczy, najwazniejsze, ze mozna to robic wolnorynkowo. Jest to niewatpliwie najjasniejszy punkt tej calej imprezy, ale sa i cieme, a wlasnie jeden grobowo ciemny punkt, ze najwieksze korzysci jak dotychczas w handlu uzyskuje komunistyczna i postkomunistyczna nomenklatura. Zeby nie byc golosownym, to od dluzszego juz czasu goszcza w RPA i przewijaja sie nomenklaturowcy.

Jest tajemnica poliszynela, ze wsród nas znajduja sie mniej lub bardziej udani synowie i cory dawnych komunistycznych prominentow, nawet centralnego szczebla. Mimo ze moj Naczelný twierdzi, ze to najwyzej 5% naszej emigracji, to ja twierdze, ze to niczego nie zmienia. Rozpoznać ich mozna po najbardziej wojowniczym antykomunizmie - na jezyku.

Nomenklatura probuje miekiego ladowania, jak narazie z dobrym skutkiem., choc sama w sobie nie jest solidarna, ani jednolita, czego jestesmy naoczniymi swiadkami. Koronnym tego przykladem jest wojna podjazdowa pomiedzy placowkami dyplomatycznymi w Harare i w Gabarone. Obydwie strony przedstawiaja sie jako jedyni przedstawiciele Rzeczypospolitej na RPA. Sytuacja ta narobila wsród Polonii sporego zamieszania. Tak jedni, jak i drudzy maja swoich zwolennikow i przeciwnikow. Azeby bylo jeszcze smieszniej, odbydwie strony legitymuja sie listami uwierzytelniajacymi. Nie swiadczy to najlepiej o Waszwawie, ale skad tam na Boga

maja wzliac od razu nowa kadre, a stara czuje sie w tym balaganie jak ryba w wodzie. W Polsce haslem dnia jest - jak zrobic pieniadze szybko i duzo. Jak grzyby po deszczu powstaja izby handlowe, towarzystwa przyjazni (kogo z kim), spolki i posrednictwa pracy, te ostatnie wzorem mojego ulubionego pana Sz. ktorego wstepne opłaty podskoczily do 1700 USD (wiadomosc z Polski).

Piknik

Jedna z imprez, o ktorych mowilo sie ostatnio w towarzystwie byl zorganizowany przez PCC piknik. Przypominal mi on jako zywo naszych drogowcow. Corocznie byli oni zaskakiwani przez zime i permanentnie nieprzygotowani. Naszych organizatorow zaskoczyla frekwencja gosci z ktora nie wiadomo bylo co zrobic. Poczylam sie jak w ojczyźnie, panowal calkowity, swojski balagan. Pozostal dziwny melanz nostalgii i niesmaku - liryka i gastronomia.

W kilka tygodni znow odwiedzilem klub, Zaskoczony bylem porawa. Na pytanie skad taka zimana ktos z "dobrze poinformowanych" oswiadczył z szelmowska mina, ze glowny organizator przestal "pomagac". Z pelnym zoladkiem i pogoda ducha opuscilem klub.

Quo Vadis Zjednoczenie

Miesiac mija od Walnego Zgromadzenia, na ktorym zostal wybrany nowy Prezes i Zarzad. Wszystko odbylo sie po staremu. Mam na mysli znikome zainteresowanie czlonkow jak i reszty. To jest chyba jakas choroba. Czemu to przypisac? Takiej a nie innej pracy Zarzadu? Statutowi? Czy moze jednak konsumpcyjnej postawie Polonii, szczegolnie tej nowej? Prezes uzyskal calkowita akceptacje - 100%-owa jednosc glosow, nikt przeciwko, nikt sie nie wstrzymal. To sie juz nawet nie zdarza w Najwyzszym Sowiecie. Drogi Prezesie, noblesie oblige, czekamy wiec na program i realizacje. Powodzenia.

Truche to dziwnie brzmi w tym felietonie - ale coz, moze to takie dziwne czasy nastaly, ze szydercom brakowac zaczyna zolci?

Wasz Szyderca

BYĆ PTAKIEM TO NIE WYSTARCY MIEĆ SKRZYDŁA. TO PRZEDEWŚYŚT. KIM SPRAWA MENTALNOŚCI.



WSPOMNIENIA

SKUTKI
NACJONALIZACJI

Mandela i inni członkowie ANC, z komunistą Slovo (z Litwy rodem) na czele, oświadczają wszem i wobec, że pragną przeprowadzić "nacionalizację bogactw" w Pd. Afryce gdy uzyskają niepodległość. Chce tu pokrotnie opowiedzieć Państwu jak wyglądała nacionalizacja w całkiem kiedyś bogatym kraju, który za czasów kolonialnych nazywał się Tanganika, a później po połączeniu się z wyspą Zanzibar został nazwany Tanzania. W kilka godzin po ogłoszeniu nacionalizacji banków zaprowadzono bardzo surowe ograniczenie wywozu gotówki. Wielu biznesmanów złapano w Longido, na granicy Tanzanii i Kenii, i w kajdankach ich odwieziono do Aruszy, bo chcieli "przemycić" trochę pieniędzy do "kapitalistycznego" kraju. Niektórzy wycofali swe oszczędności z banków i przenieśli je do tzw. pocztowych osrodków oszczędności ale i to się im nie udało, bo bardzo szybko rząd prez. Nyerere zamknął te luke. Pozwolono jedynie wywozić legalnie 250 szylingów tanganickich do Kenii. Nawet niepieniężne, aczkolwiek bardzo przystojne dziewczyny masajskie wiedza o różnicy pomiędzy wschodnio-afrykańskimi walutami. "Ni sidaj" - niedobre, odrzucają ze wstrętem błyszczącą monetę z wizerunkiem Nyerere.

Arusza, w którym się narodziła niesławna "deklaracja socjalistyczna" zmieniła się w ciągu kilku dni z turystycznego, wesołego osrodka w ponure, beznadziejnie pesymistyczne miasto. Wielu hinduskich kupców otrzymało rozkaz natychmiastowego opuszczenia swych sklepików. Wiele towarów, które dawniej były bardzo łatwe do otrzymania znikły z za lady. Banki są puste, ale są strzeżone dzień i noc przez uzbrojonych policjantów. Manager Barclays Bank jest pod widocznym szokiem. drza mu rece, oczy latają niespokojnie. "Juz nie jestem kierownikiem tej wspaniałej instytucji, jestem poprostu drobnym urzędnikiem". - "Czy zostanie pan na swoim stanowisku?" - zapytałam go, właściwie wiedząc z góry jaka będzie odpowiedź. - "Tylko jeśli otrzymam rozkaz od swych władz za granicą, ale bardzo wątpliwe czy to nastąpi.

Podczas gdy biznesy w miastach zostały właściwie zamrożone, zapanował stan euforii wśród zebrań i bezrobotnych. Masy oczywiście nie miały pojęcia o skomplikowanym systemie nowoczesnej ekonomii. Niepismieśni wciąż rozumieeli, że banknoty są wytwarzane przez banki w taki sam sposób jak papierosy w fabryce tytoniowej. Wierzyli, że na skutek nacionalizacji więcej pieniędzy spadnie im w cudowny sposób z nieba.



Bezrobotni oczywiście z radością przyjęli decyzje ich "Mwalimu" (po suahili - nauczyciel, przydomek Nyerere), ale bogatsi, a więc farmerzy i drobni kupcy zagłębili się w skrajnym pesymizmie. Jakis drobny rolnik przywoził do miasta 9 worków kawy, dostarczył je do nowopowstałej kooperatywy, ale okazało się, że pieniądze, które mu wyplacono nie pokryły nawet w polowie kosztów produkcji. Tłumaczono mu, że szalone są koszty administracji. Trudno mu było to zrozumieć. Zaczęły się gorące, ale bezowocne protesty ze strony zamożnych rolników ze szczytu Wachagga, kolo Moski. Jeden z nich w mojej obecności wszedł do jakiegoś niemal pustego sklepiku i wrzasnął na cale gardło: "Kto mi da 300 dobrych kenijskich szylingów za te 500 paskudnych"

Niektórzy rolnicy przyjeżdżali do miast w poszukiwaniu części zapasowych do swoich traktorów, niestety odjeżdżali z niczym, gdyż dowiadywali się, że z powodu ostrej kontroli wymiany obcej waluty sprowadzanie części zapasowych z zagranicy napotyka na niezwykle trudności. Niektórzy przyjeżdżali do miast w nadziei otrzymania pożyczki w banku, oczywiście ich podania spotykały się z glosnym, ironicznym śmiechem.

Nieliczni turyści mogli ujrzeć wiele opuszczonych farm, szczególnie w okolicach Babati. Bush, który rolnicy zamieniali w ciągu lat w żyzne pola, wraca z powrotem, muchy tse-tse wracają również....

Grupa murzyńskich farmerów zgłosiła się do przedstawicieli rządu z prośbą o pomoc. "Pomoc" okazała się bardzo drastyczna. Mieszkańców wioski otoczono wojskiem i kazano im się przesiedlić do innej miejscowości i zbudować nową wioskę tzw. "Ujamaa". "Tylko żadnych domów krytych strzechą" - ogłoszono nowym osiedlencom. "Mwalimu" oświadczył, że podłoża ogień pod takie domowstwo. Powstały wtedy budynki zrobione z odpadków blachy i starych tins. Na tzw. "Wielkiej Polnocnej Drodze", gdzie niedawno był jeszcze wielki ruch, można jechać milami i nie napotkać ani jednego samochodu. Kupno nowych aut spadło o 90% i mowiono, że wkrótce kraj osiągnie ideal Nyerere, że wszyscy będą dążyli do pracy na rowerach, tak jak to jest w komunistycznych Chinach.

W niedziele natomiast konsekwentnie piwa musiała być potworna. Trzeba było bardzo uważać, żeby nie zostac najechanym przez rozpedzony Landrover z rządowym numerem na boku.

W Dar-Es-Salam, stolicy państwa at-

mosfera wśród businessmanów była jeszcze bardziej ponura niż w Aruszy. Po odwiedzeniu stolicy, turysta zmieniał najczęściej pierwotne zdanie o pochodzeniu socjalistycznej nacionalizacji w Tanzanii. Poza granicami tego kraju panowała opinia, że Nyerere dokonał reform pod wpływem nacisku skrajnie lewicowych kolegów rodem z Zanzibaru. Ale stali mieszkańcy Tanzanii byli innego zdania - uważali, że "Mwalimu" Nyerere napotkał się odwrotnie z silną opozycją ze sfery biznesowych i postąpił wg swego własnego zdania, wyrażonego w swej książce "Ujamaa", która zresztą mało kto czytał. Nigdy nie zapomne chwili, gdy nasz przyjaciel i dawny współnik, który przyjechał z pod Tangi do Nairobi, żeby nas odwiedzić, usłyszał podczas sniadania o "Deklaracji" Nyerere. W ciągu paru minut z bardzo bogatego człowieka, właściciela wielu farm sizałowców, firmy, która na mniejszą skalę była podobna tutejszemu "OK" i kilku domów nad brzegiem morza, stał się dosłownie biedakiem. Balismy się, że mu grozi zawał serca i bardzo nam go było szkoda, przykro nam było, że o tej klesce dowiedział się u nas w domu podczas sniadania.

Inny nasz przyjaciel Polak, który jako nastolatek był wywieziony z rodzina do Rosji i tam niemal stracił nogę, przyjechał do Tanganiki bez grosza, ale dzięki ciężkiej pracy jako zawodowy myśliwy dorobił się slicznej farmy kawowej. Gdy go zawiadomiono, że jego posiadłość zostanie upanstwowiona, wpadł w szal. Siekiera porabiał drzwi, okna i podłogę w bardzo ładnym i nastrojowym domu i wyjechał do Rodezji.

Minely lata, Tanzania staczała się coraz bardziej w przepaść ekonomicznej martwoty. Wreszcie Nyerere ustąpił z Prezydentury i nowy Prezydent stara się dzwignąć kraj ze smierdzącej Nirwany.

Ada Wincza

3 Pułk Strzelców Konnych w Wolkowysku odcinek----3

Po paru tygodniach pracy w pułku, Tadek Strugalski i ja, zostaliśmy przydzieleni do pułkowej ekipy "MILITARY" co było dla nas dodatkową godziną zajęć codziennie. Pod kierownictwem por. Totjewa mieliśmy codziennie wieczorem godzinę jazdy konnej celem przygotowania nas do zawodów konnych "MILITARY", które odbywały się co roku. Tren-

WSPOMNIENIA

struktor był bardzo surowy i wymagał bardzo starannej pracy. Por. Totjew był bardzo malomowny, ale jego wyroki o naszych wyczynach na koniach były pełne sarkazmu i krytyki. Nie liczył się ze słowami i określeniem oficera, który według jego zapatrywania wykonał wskazówek w 100 procentach. Często po takiej lekcji człowiek szedł do domu dziwić się dlaczego przyjmuje jego sarkazmy i uwagi bez gwałtownej reakcji. Ale to było życie oficera pułku kawalerii. Wiedzieliśmy przed ukończeniem szkoły podcharazych kawalerii, co nas oczekuje w pułku. Również Z-ca D-cy pułku ppłk. Platonoff, który codziennie miał inspekcje normalnego szkolenia w szwadronach nie liczył się ze słowami, jeżeli sadził, że nasza praca nie jest na tym poziomie na jakim powinna być, by utrzymać stopień wyszkolenia pułku.

Co roku odbywały się na manewrach zawody pułków brygady o "BUNCZUK BRYGADY". Bunczuk była to trofea w kształcie eleganckiego proporczyka z polskiszyzmem i ogonem koniskim, historycznie pochodzącym z kawalerii tatarskiej. O ten Bunczuk pułki brygady walczyły co roku. Szwadron, który w szkoleniu osiągnął pierwsze miejsce miał Bunczuk przez jeden rok, i na wszystkich defiladach brygady maszerował na pierwszym miejscu. Wygranie tego Bunczuka wpłynęło na ocenę wartości oficerów i podoficerów danego szwadronu. Dlatego ppłk. Platonoff krzyczał i awanturował się przy najmniejszych bledach w jego zapatrywaniu w szkoleniu strzelców. Nie było dnia w którym pochwałił kogokolwiek przy jego inspekcji szkolenia.

Co pewien czas D-ca Brygady Gen. Gr zmot-Skotnicki pojawiał się niespodziewanie w pułku na inspekcji. Nigdy nie było wiadomem, co będzie oglądał. Pamiętam, na jednej z takich inspekcji, zatrzymał się przy moim plutonie, i zaczął pytać strzelców o zadaniu oficerów, podoficerów, itp. Przy nim stał ppłk Platonoff. Gen. nagle zapytał jednego strzelca, czy wie kto ten oficer jest. Strzelec odpowiedział, że wie, że to jest płk. Platonoff. Gen. zapytał się, czy on wie, co ten oficer robi w pułku. Strzelec odpowiedział, że wie. Na zapytanie generała w tej sprawie, strzelec odpowiedział, że ppłk Platonoff tylko chodzi po placu na spacer i krzyczy na oficerów. nie było komentarzy na ta odpowiedź.

Pomimi długich godzin pracy byliśmy zadowoleni z życia. Tadek i ja zbudowaliśmy sobie małą zagłówek, i często w lecie zeglłowaliśmy po małej rzeczulce. Bardzo często w sobotę wieczorem nasze trzy Rosjanki odwiedzały nas, przynosząc smakowite rosyjskie przysmaki. Mysmy dostarczali wodke i inne napoje i mieliśmy mile wieczory. Nasze przyjaciółki opuszczały nasze kwatery w poniedziałek rano. Co pewien czas mieliśmy zabawy taneczne w pułkowym kasynie. Zabawy były zawsze bardzo ele-



ganckie. Oficerowie w mundurach galowych, a panie w eleganckich wieczorowych sukniach. Jeżeli jakas pani siedziała i nie tańczyła, natychmiast któryś z starszych oficerów zwrócił nam na to uwagę, i naszym obowiązkiem było poprosić ta pania do tańca. Dla pan była to miła przysługa, ale dla nas, młodych oficerów nie było to tak mile widziane, gdyż często te panie były w naszym przekonaniu w starszym wieku, i nie należało do przyjemności tańczyć z nimi. Ale obowiązek był obowiązkiem, i nie wolno się było z tego wykręcić. Obecność na zabawie dla młodych oficerów była obowiązkiem.

My, jako najmłodszy oficerowie musieliśmy respektować wszystkich oficerów, pomimo, że niektórzy z tych oficerów w ich stosunku do nas nie zasłużyli na ten respekt. Por. Totjew, na przykład, wogóle nie traktował nas jak żyjące istoty. Dla niego byliśmy robotami na koniach wykonującymi jego instrukcje. Szanował konie więcej niż jeźdźców. Ja z nim nigdy nie rozmawiałem przez cały czas pobytu w pułku.

Drugi był taki por. Nieczaj. Był to oficer rosyjskiego pochodzenia, którego powiedzeniem było, że ryby i podporucznicy głosu nie mają. Był bardzo nieprzyjemnym w współżyciu codziennym. Był bardzo dobrym jeźdźcem i często brał udział w ekipie "MILITARY".

Płk. Michalski, d-ca pułku, był bardzo dobrym oficerem i dowódcą. Był miłym, przystępnym, dyscyplinarnym i dużo pracy włożył w dobrym dowodzeniu pułku. Był bardzo lubiany. Naszym obowiązkiem było również złożyć wizytę wszystkim oficerom pułku, w mundurze galowym. Trzeba było wizytować w godzinach popołudniowych oficerów zonaty, a kawalerów można było odwiedzić w godzinach rannych w niedziele. W odpowiedzi na to wszyscy oficerowie pułku złożyli nam wizytę. Pamiętam, jednej niedzieli rano, kiedy nasze Rosjanki były u nas i nie były kompletnie ubrane, adjutant pułku, rtm. Bogucki złożył nam wizytę, i na pewno zorientował się, że jego wizyta trafiła nas niezupełnie przygotowanych do przyjęcia gości. Ale zaleta oficera kawalerii była dyskrecją. I nigdy rtm. Bogucki na ten temat z nami nie rozmawiał.

Zima się zaczęła i znowu nowa praca doszła do naszego trybu życia. Zorganizowano kurs narciarski, i pod kierownictwem por. Grodzickiego co niedziele rano dwie godziny narciarstwa. Był to bardzo dobry kurs, i w krótkim czasie zaczęliśmy jeździć na nartach.

Henryk Samolinski

FELIETON

NIEBEZPIECZNE BLAZNY

Niedawno, podobnie jak i wielu z szeregu ow naszej Polonii, otrzymałem list z Pretorii, podpisany przez dwóch panów o nazwiskach zdecydowanie afrykanerskich. W liście tym apelowano do mnie, bym popierał separatystyczne i nacjonalistyczne cele tej grupy narodowości w tym kraju. List ten był napisany po polsku, ale jego ortografia wskazuje, że tłumacz nie bardzo zna obowiązującą ortografię, która była wprowadzona w latach 1933-1934 i pisze tak jak uważano za właściwe 60 lat temu. Tak więc proszę dziadzia, to był językowo niewypał. List ten trafił do mnie pod zły adres, bo ani myśle solidaryzować się z jego treścią. Jest dla mnie oczywistym, że przyszłość i pomysłność tego kraju leży wyłącznie w ustroju demokratycznym, przy jednakowych prawach dla wszystkich obywateli i przy zabezpieczeniu interesów mniejszości, jakie by one nie były. Nie mogą mieć miejsca żadne uprzywilejowania z racji koloru skóry, religii czy narodowości. Tendencje nacjonalistyczne są nie tylko szkodliwe, ale wręcz niebezpieczne z punktu widzenia politycznego, ekonomicznego i pokoju w tym kraju.

Gdy Partia Konserwatywna zorganizowała demonstrację w Pretorii w lutym nad tłumem powiewały flagi hitlerowskie z "Hakenkreuzem" i flaga SS. Dziwie się, że Rada Polonii w RPA nie wystosowała do rządu ostrego protestu w tej sprawie. Przecież wyrokiem Międzynarodowego Trybunału w Norymberdze w 1946r hitlerowskie organizacje SS i SA zostały uznane za organizacje kryminalne i od tego czasu publiczne demonstrowanie ich emblematów jest uznane we wszystkich cywilizowanych krajach za przestępstwo kryminalne i jako takie surowo karane. Dlaczego nie w RPA?

Widzę czasem w TV niebezpiecznych blaznów ubranych w mundury do złudzenia przypominające mundury SA z opaskami i flagami ze znakiem bliźniaczym do hitlerowskiego. Reka mnie swierzbi, by sięgnąć po pistolet i strzelac do nich jak strzelałem ich w czasie wojny. Maja szczęście, że zaden z nich jak dotąd nie pokazuje się w mojej dzielnicy, bo nie recze za siebie.

Polacy, jak mało który naród, dobrze pamiętają co wycierpieli i ile ofiar ponieśli ze strony "narodu panów", przedstawicielei "wyzszej rasy" i dlatego choćby wszelkie ciagoty nacjonalistyczne powinny nam być odrazajaco wrogie.

Konrad Lesnik

KWIATY POLSKIE fragmenty

Bukiety wiejskie, jak wiadomo,
Wiazane byly wzwywz i stromo.
W barwach podobne do oltarza,
Kształt serca miały lub wachlarza
Albo palety. Z niej to, kwietnej,
Kolory bral bohomasz swietny,
Rafael Rawy i Studzianny,
Kiedy ku czci Najswietszej Panny
Malowal uczuc swoich kwiaty
W tonacji bladej, choc pstrokatej.
Ja nie o wiechciach z byle chwastu,
Stawianych na werandzie na stol,
Nie o wiazankach z kwiatow polnych,
Moze i wdziecznych, lecz dowolnych,
Nie o "nareczach", specjalnosci
Wiochen i starszych dam rozwianych,
Noszacych je dla wykazania
Polskosci swej lub niewinnosci;
Ja o bukietach z kunsztem, ladem,
Z przewodnia mysla i układem,
O zasciankowych, niestolecznych,
Lecz ogrodniczych, lecz dorzecznych,
Z kwiatow scinanych nozycami,
Sciaganych pasemkami lyka
Przez popekane, czarnoziemne,
Zgrubiale rece ogrodnika.
Spojrz, jak przejmujecie i przetyka
Lodygi ich miedzy palcami,
Jak coraz nowa barwa plami,
Przeplata, wiezi i zamyka,
Znow kładzie, przewiazuje, sciaga,
Palcami jak na drutach robi -
I rosnie wizja polokragla,
On wzmacnia ja, przystraja, zdobi,
Sledzi spod gestych brwi oczyma,
Jak pelnie w gore klombik pnacy,
A tasme lyka w zebach trzyma,
Milczek surowy - bo tworzacy.

Patrz: znowu wybral - odgrzyzl - wstawil,
Na przejmujecie chwycil i przewinal,
Lyzana sciesnil pepowina
I swierzmy rzutem pojaskrawil,
Tu tknal, tu trzepnal, tutaj przetykнал,
A bukiet zaraz sie odezwal:
Rezeda szepnal, roza krzykнал,
Westchnal, pokiwal sie i przestal.

Wiec on palcami po bukiecie
Przejechal sie jak po szplniecie,
Falistym musnal go pasazem
I wtedy - do gory nogami,
Lodygi chlasnal nozycami,
Ze az omdlaly pod zelazem,
Az dreszczem poszlo przez ogrody,
Az pobladl w grzadkach lud pstrokaty...
Wiec mistrz nabiera do ust wody
I opryskujac cuci kwiaty.

A polski bez jak pachnial w maju
W Alejach i w Ogrodzie Saskim,
W koszach na rogu i w tramwaju,
Gdy z Bielana wracal lud warszawski!
Szofer nim mail swa taksowke
Frajerow wiozac na majowke,
Na trawkie, pifko i muzykie;
Gnal na sto jeden, na rezynie;
A wiozl smietankie towarzyskie:
Kuchte Walercie, te ze Sielskiej,
Burakoszczaka z Czerniakowskiej
I Jozia Gwidalskiego z Wolskiej.
Byli spoczone i zziajane
I wszystkie trzech w drebiegi pjane,
I jak jechali bez Pulaskie,
Fordziak w latarnie wyrznal z trzaskiem,
I przybiegl (tyz po gazem krzynkie)
Filmon szarpany za podpinkie.
Szofer czarowal go natralnie,
Ze on zapychal legalnie
! "Niech ja skonam, niech ja skonam
(Zawsze dwa razy! rzecz stwierdzona),
Skoro jezeli znakiem tego
Nie jest to wina bzu danego,
Ktoren cholernie sie uwietrznil
I mocny zapach uskutecznil;
Ciut, ciut mnie z niego zamroczylo
I wlasnie bez to sie zdarzylo".
Policjant mowil: "Ja nie frajer
I pan nie wezmiesz mnie na bajer,
Pan sie zatrudniasz alkoholem" -
I nagle krzyk: "To ja chromole!"
! "Nie badz pan tu za szemrany!"
A kuchta w pisk: "Zabija! Rany!"
A Jozio w pysk, a Jozia w morde,
I juz w powietrzu pachnie mordem,
I wszyscy do komisariatu,
A z winy - majowego kwiatu.
Potem to slioznie Wiech uwiecznil,
Z daleka wiec do pana Wiecha
Pelen wdziecznosci sie uśmiecham...
I coz pan teraz uskutecznia?

Julian Tuwim

RECENZJA

Szanowni Panstwo, co to byly
za piosenki. Pan Wojtek Mlynarki
przy pominieli nam te przeboje i te nieuglas-
kane, adresowane do dwuznacznych
moralistow ("Po krakowskim w noc ma-
jowa"), zamalowaczy rzeczywistosci ("Dia-
tryba"), inzynierow dusz ("Smutne mias-
teczko"). Piosenki nielatwe, zawsze jednak
pelne troski o nasza kondycje i jakze
cieple, ale nie wahajace sie nazwac nasze
wady po imieniu. To swietna tworczość
barda naszej rzeczywistosci.

Jednym z motywow piosenek
Mlynarskiego jest nadzieja. Czasami jest
ona ostatnia rzecz bohaterowi jego piose-
nek, jak w utworze "Piosenka tonacego",
piosence powstalej w ciekim dla Polakow
okresie, po wprowadzeniu stanu wojen-
nego. Moral z tej ballady jest jakze char-
akterystyczny dla Mlynarskiego. "Mial
czuc na sobie wstretny, rybi sluz - wybi-
eram zycie od oddechu do oddechu".

Ze wszystkich nowych piosenek
ktore uslyszalem, najwiekszym senty-
mentem darze "Leszczyne", ktora pan Wojtek
zaspiewal nam z takim uczuciem i to
poslanie - "i znowu pojdzie z boru w
mlodniak zielony i pojdzie z ojca w syna
moje drzewo ulubione leszczyzna" - chce

SW. TOMASZ Z AKWINU

Modlitwa znajdujaca sie przy jego grobie w Tuluzie.

Panie, Ty wiesz lepiej anizeli ja
sam, ze sie starzeje i pewnego dnia bede
stary. Zachowaj mnie od zgubnego
nawyku mniemania, ze musze cos
powiedziec na kazdy temat i przy kazdej
okazji. Odbierz mi chec prostowania
kazdemu sciezek.

Uczyn mnie powaznym lecz
nie ponurym, uczynnym, lecz nie
narzucajacym sie. Szkoda mi nie
spozytkowac wielkich zasobow madrosi
jakie posiadam, ale Ty Panie wiesz, ze
chcialbym do konca zachowac paru
przyjaciol.

Wyzwol moj umysl od
niekonczacego sie brniecia w szczegoly i
daj mi skrzydla bym w lot przechodzil do
rzeczy. Zamknij mi usta w przedmiocie
mych cierpien i niedomagan w miare jak
ich przybywa, chec wyłaczenia ich staje
sie z uplywem lat coraz slodsza. Nie
prosze o laske rozkoszowania sie
opowiesciami o cudzych cierpieniach,
ale daj mi cierpliwosc wysluchiwania ich.

Nie smiem Cie prosic o lepsza
pamiec, ale prosze Cie o wieksza pokore
i mniej niezachwiana pewnosc, gdy
wspomnienia moje wydadza sie
sprzeczne z cudzymi. Uzycz mi ch-
walebego poczucia, ze czasami moge
sie mylic.

Zachowaj mnie milym dla
ludzi, choc z niektórymi z nich doprawdy
trudno wytrzymac. Nie chce byc
swietym, ale zgryzliwi starcy to jedno ze
szczytowych osiagniec szatana. Daj mi
zdolnosc dostrzegania dobrych rzeczy w
nieoczekiwanych miejscach i zalet w
niespodziewanych ludziach. Daj mi Panie
laske mowienia im o tym.

Roman Szczecina

wziac jako swoje.

Na zakonczenie tego wieczoru
(spieszcie doniesc, ze "Wiekosz Pan w
słowianskich oczach miala lzy") pan Mlyn-
arski zaspiewal nam kilka swoich prze-
bojow, ktore owacyjnie zostaly przyjete
przez publicznosć. Musze powiedziec
Wam anegdotke zaslyszana na
zakonczenie tego przemilego wieczoru.
Jedna z siostr zakonnych zapytala mloda
dziewczyne co rozumiala z tego
wieczoru. Dziewcze odpowiedzialo ze
"Dziewczyne badzcie dla nas dobre na
wiosne". A wiec zycze wam tego samego
co zyczyl Wam pan Wojtek: Rodacy robmy
swoje.

NASZ WYWIAD

Maria Fołtyń przyjechała do RPA zaproszona przez organizatorów międzynarodowego konkursu śpiewaczego. Konkurs odbywał się w Pretorii, p. Maria zasiadała w jury mająca sasiada Claudia del Monaco-syna wielkiego Maria, i wiele innych ważnych w muzycznym świecie osobistości.

Rozmawiałam z p. Maria trzy dni po zalegalizowaniu ANC i partii komunistycznej, dwa tygodnie przed wypuszczeniem Mandeli, w czasie kiedy w Polsce wiedziano na temat RPAsprowadzała się do pewnika, że nie jest to miejsce dla uczciwego człowieka, bo bija murzyna.

Maria Fołtyń powiedziała :

o RPA

Wczoraj pokazano mi miasto. Widziałam osiedle murzynskich domków, okropnie zapuszczonych, wokół balagan. Oglądałam kindergarden dla czarnych dzieci i widziałam dobre jedzenie, wspaniałe zabawki, doskonały sposób prowadzenia tego wszystkiego. Czy jest w Polsce choć jedno takie przedszkole ?! Ilu ludzi stac by było na opłacenie go? Ile z tych umęczonych, udreconych polskich kobiet mogłoby sobie na to pozwolić w sytuacji gdzie 20 lat czeka się na mieszkanie! Jak ja na to wszystko patrze, to ja już nic nie rozumiem. Przyszłam wczoraj do hotelu i przeplakałam całą noc. Myślałam że mi serce pęknie. Cały czas widzę polskie dzieci. Jak one się odzywają?! Co z nich wyrosnie w tych warunkach?

Widzę że murzyni zjya tu nieporównanie lepiej niż gdzie indziej. Ja przecież nie jestem rasistką, rozumiem że trzeba dać murzynom wszelkie prawa, ale wolność zle rozumiana, zle wykorzystana jest siła niszcząca. Murzyni muszą nauczyć się pracować tak jak wszyscy. Wokół tego ich domku musi być czysto.

o Mazowieckim

Jest nieprawdopodobna zgoda na to co robi Mazowiecki, nieprawdopodobne do niego zaufanie. Nie pamiętam przypadku żeby tyle osób oddawało swoje obrączki, pierścionki, bransoletki, ostatnie swoje grosze na fundusz. Ja to mówię z wielkim wzruszeniem. Tylko w tym kraju jest to możliwe, tylko ten naród mógł coś podobnego zrobić. Ludzie chcą wierzyć, że są możliwe zamiary, że z tej niedzy, tego wyniszczenia przejdziemy wreszcie do normalnego istnienia w sensie ekonomicznym, bo pod względem moralnym jesteśmy w tej chwili w dobrym stanie. Ale ten zryw, ten entuzjazm trzeba też zapisać na konto Mazowieckiego ; myślę że on sam jest wielkim zwycięzca. Zdobył sobie sympatię i zaufanie wszystkich. Nie wszyscy jednak ludzie, których sobie dobrał, zasługują na takie zaufanie. Mazowiecki miał zbyt mało czasu na skompletowanie rządu. Naszym obowiązkiem jest więc udzielanie poparcia temu rządowi, ale musimy być również wobec niego krytyczni.

o Walesie :

Walesa jest człowiekiem wielkiego talentu politycznego i wielkiej charyzmy. Jestem też pełna uznania dla jego rozwoju, dla jego edukacji. Nie ulega wątpliwości, że

jest to osoba nieprzeciętna, ale uważam, że niedobre jest jego nadmierne uzależnienie od koscioła. Jest teraz wogóle moda na przejmowanie kościelnego sposobu bycia, sposobu myślenia i argumentowania, co czyni nas często w oczach świata-powiedziałabym- mniej swiatlymi. Mówię o pewnego rodzaju złym guscie i boję się, że przestajemy być krajem inteligentnym.

o obawach :

Co by nie powiedzciec były pewne świadczenia socjalne. Byłejakie ale były: bezpłatne leczenie, szkolnictwo itd. Tego ludziom nie można z dnia na dzień nie dając niczego w zamian-odebrać. Jeśli w Polsce ma być kapitalizm, jakiś ograniczony chrześcijański socjalizm, czy jak się to tam będzie nazywało- trzeba do tego przechodzić powoli, bo ten naród przez 50 lat był przyzwyczajony do poruszania się w pewnym układzie, w określonych kategoriach myślowych. Jeśli więc w przeszłości zdarzyło się coś dobrego, to nie burzmy tego, zachowajmy. Mnie się podoba polityka p. Drawicza, który robi w telewizji czystkę, ale powoli. Niektórzy zaś posłowie i senatorowie chcą wszystko rozwalac, wszystkim ucinac głowy. Chca zmieniać w jednej chwili wszystko o 180 stopni. Nie można tak. Myślę, że największym nieszczęściem w tej chwili będzie nawet nie rozkradanie resztek Polski, a sprzedawanie Polski gdzie się da i komu się da. I wygląda jakbyśmy się na to godzili.

o kulturze w Polsce :

Zmienimy ustroj, może nawet za jakiś czas dojdziemy do dobrobytu, ale jedna rzecz, która przy okazji zniszczymy, to kultura. Ta prawdziwa. Musimy propagować polską kulturę, musimy promować, pomagać naszym artystom, którzy nie będa mieli co ze sobą zrobić w tej nowej sytuacji. Będa wyjeżdżać, za wszelką cenę wyjeżdżać. Muszą wyjeżdżać żeby zarobić choćby na instrument. Będziemy ich tracić coraz więcej. To są wielkie dramaty i ja bardzo współczuję Izabelli Cywińskiej, która jest moją koleżanką z wydziału reżyserii. To świetnie, że właśnie ona została ministrem kultury, ale czy dadzą jej choć trochę pieniędzy?

o Moniuszce :

Staram się przypominać w kraju, propagować za granicą muzykę Moniuszki. Moniuszko jest mi najbliższy. Zyl razem z tym narodem, razem z nim cierpiał wtedy, kiedy każde polskie słowo znaczyło b. wiele, a Moniuszko swoją muzykę pisał przeciw do tekstów najwybitniejszych polskich poetów.

On był tym, który został w kraju, poświęcił się dla kraju, nie stał się playboyem jak Chopin, który zyl wśród pięknych pan w paryskich salonach. Moniuszko siedział w Polsce i grał- psia krew- na tych organach, ale napisał pieśni nie gorsze od Schuberta, czy Schumana. Nie mówiac o operach.

o swoich planach :

Na konkursie zaproponowałam, jako nagrodę dla najlepszego śpiewaka z RPA, wyjazd do Polski i tam koncerty jeszcze w tym roku. Zostało to przez organizatorów i samego zainteresowanego przyjęte z wielką radością.

Zrobiłam wstępny folder festiwalu na którym chcę propagować pieśni Moniuszki. Chcę ten projekt doprowadzić jak najszybciej do szczytowego finału. Wielu ludzi z całego świata pomaga mi w tym. Tu

też poznałam ludzi, którzy chcą pomóc, chcą w tym przedsięwzięciu uczestniczyć. Jutro spotykam się z dyrektorem tutejszej opery, który wyraził chęć sciągnięcia do RPA kilku polskich śpiewaków. Pokażę mu videokasetę z operą Paderewskiego, jeśli mu się spodoba, to ja u siebie wystawię. Chcę mu powiedzciec, że mamy tak wielkiego tenora jak Wiesław Ochman, chcę powiedzciec, że mamy wielkiego Konstantego Kulke, chcę zaproponować wystawienie "Requiem" Pendereckiego i "Stabat Mater" Szymanowskiego. Chcę im parę rzeczy napisać o młodych polskich śpiewakach, skrzypkach, pianistach. Zbliża się wielki konkurs pianistyczny, chciałabym, żeby ktoś z RPA przyjechał na ten konkurs i żeby w ślad za tym mogli przyjechać na koncerty do Afryki nasi pianisci.

W kraju dalej będe się zajmowała Międzynarodowym Festiwalem Moniuszkowskim. Chcę stworzyć Muzeum Moniuszki w Warszawie i mam już obiecany budynek na ten cel. Będe organizowała "Promocje im. Adama Didura" w Sanoku, przypominając postać tego wielkiego polskiego basy.

Po powrocie 23 lutego lece do Hawany reżyserować "Parie" Moniuszki. To jest pierwsza premiera tej opery za granicą. 15 października wystawiam "Halke" w Panamie.

Moim marzeniem jest wystawienie "Halki" w Metropolitan Opera. Wiesłowi Ochmanowi nie udało się tego zrobić, Teresa Zylis-Gara, Teresa Kubiak nie zdolały tego załatwić. A ja to zrobię. I jeśli nie Moniuszko, to Paderewski będzie w Metropolitan. Ja to załatwię. I polska opera będzie w Nowym Jorku. Wtedy jest Polska. Polska jest wtedy, kiedy na takiej niwie zaistnieje.

o polskiej śpiewaczce występującej w konkursie w Pretorii.:

Ma 27 lat, wiec wszystko przed sobą. To jest dobra śpiewaczka z czysto polskimi mankamentami. Pytają mnie dlaczego ona jest taka mało wesola. A jak mam im wytłumaczyć, że kiedy się mieszka w Zdunskiej Woli i dwie godziny dojeżdża do konserwatorium do Łodzi, to jak ja im mam wytłumaczyć, że od tego się ma taki a nie inny wyraz twarzy.

o sobie :

Nigdy nie należałam do partii, ale też nie należałam do Solidarności. Jestem kobietą-tak jak w ostatniej piosence napisał Wojciech Młynarski "nie miała czego oddawać", bo dziś w Polsce zaczyna być tak, że bohaterami są ci, którzy oddają legitymację. Tak jakos się zrobiło, że w kraju jestem swoista instytucja i pewnie tak już zostanie.

Pamiętam jak były prominent Rakowski powiedział mi, że jestem jedyna osoba, która w tej zależności umiała sobie wywalczyć niezależność. Pamiętam też, jak w 1975 roku były prominent Tejchma wręczał mi jakieś drobne odznaczenie na przedstawieniu "Halki", które zrobiłam na 10 lecie Teatru Wielkiego i które stało się sensacją. Tejchma powiedział wtedy: "no wie pani, myślę, że dostalaby pani coś więcej, ale pani jest zbyt wielką nacjonalistką polską. Czy musi pani aż tak to akcentować?". Coż na to odpowiedzieć...

rozmawiała

MARIA DLUZEWSKA

LISTY

Od redakcji:

Ilość i różnorodność listów, które zaczęły napływać do Redakcji skłoniła mnie do napisania kilku zdań wyjaśniających naszą ideę w prowadzeniu tej rubryki.

Wielokrotnie przy różnych okazjach pisaliśmy o niezależności redakcyjnej i pełnej otwartości naszego piśmnia dla wszystkich, którzy chcą być stale z nami współpracować, bądź w formie krótkich wypowiedzi, listów felietonów, wyrażać swoją opinię na tematy dotyczące nas wszystkich, Polski, RPA, naszej Polonii. Otwierając nasz mały Hyde Park zdawaliśmy sobie sprawę, że dotychczasowy brak takiego forum spowodował nagromadzenie wielu napięć i nieporozumień w naszej społeczności, które w sposób, czasem dość drastyczny, wpłynęły na treść listów do Redakcji.

Spodziewamy się jednak, że otwarciem tej furtki, doprowadzimy wkrótce nasze dyskusje do rozsądnego poziomu i zamiast wieloletniej "dułszczyzny" nauczymy się rozmawiać ze sobą, nawzajem rozumieć, jasno formułować problemy i konsekwentnie je rozwiązywać. Można by tu w nieskończoność cytować Macieja Ilowieckiego z Jego "wiecznym kwestionowaniem zastanego", (patrz Tak i Nie nr 3) ale to już było.

Stopień agresywności niektórych wypowiedzi jest wyłącznie dowodem tej tezy. Zamiast się więc oburzać, powinniśmy doceniać istnienie tych zjawisk w zalewie bierności i "niezaangażowania". Przykładem niech będzie kwietniowe Wałne Zebrańce Zjednoczenia Polskiego w Afryce Południowej, na którym nowego, mającego nas wszystkich (11 tys. Polaków) reprezentować Prezesa wybierało50 osób !!!!!!!!!

Mimo, że żyjemy w świecie tzw "zachodnim", akceptujemy jego osiągnięcia materialne i sposób życia, gdzieś w głębi duszy mamy swój "drugi standard". Czytając z upodobaniem w prasie o szczegółach życia i skandalach "bogaty i znanych", oburzamy się na kilka niesmiałych uwag na temat niezbyt biednych i znacznie mniej znanych (patrz list z Pretorii). Może zbyt brutalna w swym wyrazie jest "otwartość życia" w wydaniu amerykańskim, ale tradycyjne nasze kamuflowanie jest już zdecydowanie herezją.

Polska zmienia się dzisiaj bardzo gwałtownie w sferze materialnej, socjo-społecznej i umysłowej, musimy więc uważać, żeby nie został reliktem i dla zachodu i dla nowej Polski.

Plotr Plebankiewicz

Szanowny Panie Redaktorze !

Bardzo złe wrażenie wywarł na mnie list niejakiego p. J. Jaworskiego, opublikowany w pańskim czasopiśmie z marca 1990.

Autor listu szkaluje Księdza Jaworskiego jak również dwie inne osoby, które określa inicjałami "R" i "F". List ten nie ma nic wspólnego ze zdrową krytyką, o jaką zabiega pan, panie Redaktorze, w swoim czasopiśmie.

Zionie z niego nienawiscia, a jadowite podejrzenia w stylu KGB wyrządzają szkodę dobremu imieniu tych osób. Autor listu używa niewybrednego języka w tej orgii oszczerstw, jakimi obrzuca swoich wrogów.

Jako czytelniczka tego polskiego piśmnia, protestuję przeciwko tego typu nagonce na jego łamach. Wyrażam zdecydowany sprzeciw wobec głoszenia opinii w imieniu ogółu przez jakichś zaslepionych nienawiscia ludzi. Nie do p. Jaworskiego należy pouczanie, że "na rozum już za późno" i, że "dziwne jest to, że sporo ludzi toleruje jeszcze księdza", "którego działanie bazuje na piedestale ludzkiej głupoty i głupoty tych, co za nim stoja". Nie p. Jaworskiego rzecz jest sadzić tych, którzy nie podzielają jego poglądów.

Zdrowa krytyka i jasne, śmiałe wypowiedzianie swych poglądów jest bezwzględnie słuszne, lecz do szkalowania cudzego imienia i do prywatnych porachunków NASZE CZASOPISMO nie może służyć.

Z poważaniem
Elżbieta Kowalska
Pretoria

Redaktor naczelny "Tak i Nie"

Szanowny Panie

Pare tygodni temu podczas spotkania z kol. Plebankiewiczem uściliem za roczną prenumeratę Waszego piśmnia. Podalem przy tym pisać drukowanymi literami moje imię i nazwisko, tytuł jakiego używam oraz pełny adres. Kol. Piotr obiecał, że otrzymam wkrótce wszystkie wydane numery Waszego piśmnia. Tymczasem dotarł do mnie jedynie jeden numer świąteczny, moje nazwisko na kopercie zostało przekrecone a tytuł pominięty. Wydaje mi się, że takich błędów i podobnych mezcie uniknąć zatrudniając do tej czynności wysyłka osobę przynajmniej ze świadectwem matu-rainym z Polski.

Zyczyłbym sobie żeby w przyszłości nie było takich błędów z Waszej strony. Mam również nadzieję, że otrzymam brakujące numery Waszego piśmnia.

Z poważaniem
Dr R. Czarniecki

Od redakcji:

Numery 1 i 2 wysłane zostały z opóźnieniem w stosunku do nr-ru 3-go i zapewne już dotarły do naszego Czytelnika. Co do prawidłowości podania nazwiska i tytułu na kopercie; przepraszamy naszą winą, wpisując adresy do komputera to tylko mgr inż. elektroniki, umysł zbyt "scisły" by wyczuwać finezje prawidłowego adresowania korespondencji. Skarčiliśmy, odsunęliśmy do mnie odpowiedzialnych poruczeń. Jeszcze raz przepraszamy i dziękujemy za zwrócenie uwagi.
P.P.

Szanowny Panie Redaktorze

Zastanowmy się, gdzie żyjemy? Otoż, być prawdziwie praktykującym katolikiem w RPA i w jej obecnej rzeczywistości, wbrew wszelkim pozorom nie jest sprawą łatwą.

Oto moje wątpliwości.

Kilka lat temu mieszkając w diecezji północnego Natalu włączyłem się szybko w życie katolickiej wspólnoty. Nie zajęło mi wiele czasu zorientowanie się, że zarówno księza jak i biskup są w pełni zwolennikami ANC/SAPC (komunisty) i ich idei.

Co gorsza głosili to z ambony.

Jestem przeciwnikiem dyskryminacji z powodu koloru skóry, ale również przeciwnikiem komunizmu.

Zaslepienie i ignorancja tych duchownych były zastraszające. Wszelkie próby dyskusji na ten temat kończyły się frustracją obu stron. Smaczku dodawało to że rozmawiałem z Europejczykami, bowiem proboszczem był Wloch, a biskupem diecezji (i to nie anglikańskiej) jest do tej pory Brytyjczyk (tamże urodzony).

Ciekawa kombinacja. Moje próby, aby nie mieszać polityki z religią były absolutnie niezrozumiałe. Pamiętam wielki wstyd jaki padł na "naszą" wielokolorową wspólnotę, gdy "nasz" biskup z uśmiechem wyjaśniał w czasie niedzielnej kazania, dlaczego poparł i podpisał deklarację SACBC (kongregacja episkopatu) prosiąc "świat" o nałożenie sankcji na ten kraj. Wiele osób wyszło z kościoła, znam takich, którzy już do niego nie powrócili.

Liberation Theology (Teologia Wyzwolenia) w południowoamerykańskim wydaniu stała mi przed oczyma. Gdzie ja jestem, co ja tutaj robię? Jeszcze większe wątpliwości ogarnęły mnie po przeczytaniu kilku numerów piśmnia New Nation, należącego do Catholic Bishops Publishing Co., kiedy zrozumiałem, że to piśmo należące do katolickiego episkopatu w RPA otwarcie faworyzuje komunizm.

Zmieniłem potem swoje miejsce zamieszkania, czas zatarł dawne animozje.

Refleksje te powróciły jednak nagle, gdy wpadł mi w ręce list otwarty do Biskupów katolickich w Południowej Afryce wystosowany przez organizację Young South Africans for a Christian Civilization-TFC datowany w lutym 1990. A jednak miałem rację, przemknęło mi przez głowę. Nie jest to jednak powód do dumy, ale do smutnego zastanowienia się nad zyciem.

List ten, prawdziwie ważny dla całej katolickiej wspólnoty porusza moralne dylematy, które się pojawiły po zalegalizowaniu SACP w lutym br. przez rząd prezydenta De Klerka.

Kilka z nich to :

- czy można zaakceptować współpracę Episkopatu z legalną już partią komunistyczną?
- czy katolicycy kolaboranci mogą spodziewać się kanonicznej nagany?
- czy jako oficjalny organ prasowy (New Nation) zależny od biskupów-reprezentuje prawdziwe ich poglądy? Czy nie są oni

LISTY

przypadkiem manipulowani?

Ciekawe, że już papież Leon XIII zakwalifikował komunizm jako "plagę", "znienawidzona sekta" i wroga społeczności religijnej. Pius XI w encyklice *Divini Redemptoris* stwierdza, "komunizm jest nieprawda i każdy kto chce ocalić chrześcijańską cywilizację nie powinien pod żadnym pozorem kolaborować z nim". Pius XII pisał w 1949 roku między innymi, że "kto uwierzył w idee komunizmu, bronił jej i pomaga się jej rozszerzać przez prasę, książki etc. może być ekskomunikowany. Jan XXIII powyższy dekret ratyfikował w 1959. Papież Jan Paweł II w 1986 ostrzegł przed marksizmem, którego ideologia i program noszą w sobie zalazek oporu przeciwko Świętej Wierze i Kościołowi. Powtarzając za kardynałem Retzingerem, który przewodniczył Kongregacji do spraw Doktryny Wiary- "Komunizm jest wstydem naszych czasów". Wiedź jak właściwie mamy się odnaleźć i jaka rolę spełnić? My, to znaczy, zwykli członkowie katolickiej społeczności, owieczki naszych lokalnych pasterzy, z tą różnicą, że rozumne i umiejące kojarzyć fakty. Wydaje mi się, że nasz Wielki Rodak na tronie Apostolskim powinien być bardziej poinformowany o praktykach Episkopatu Południowej Afryki, i odwiedzić ten kraj jak najszybciej, poki nie będzie zapozno. Może jest to dobry czas, żeby społeczność polska w RPA wyraziła swoją opinię otwarcie.

Prawdziwa wielkość, krytyk się nie boi.

Z poważaniem

Witold Poray

Johannesburg, w maju 1990

Szanowny Panie !

Nie wiem kto kryje się pod pseudonimem "Edytor", i nie zainteresowałbym się tym nigdy, gdyby nie przysłało mi Waszego "Tak i Nie" ze stycznia. Oburzył mnie artykuł z działu "Nasze podworko", a szczególnie ta część dotycząca Wojtka Młynarskiego. Przez przypadek zostałam zamieszana w tą aferę i dlatego uważam, że szkalowanie p. Młynarskiego, zarzucając mu zerwanie (prawie) umowy jest kłamstwem. A sprawa wyglądała zupełnie inaczej.

Proszono mnie o dostarczenie mu listu z propozycją - dostarczyłam. Pan Młynarski zadzwonił do mnie, że propozycja go interesuje, że napisze. Z tego co wiem - napisał i były jakieś tam ustalenia. Po 1/2 roku znów z RPA prosba p. Ondrackowej, żeby poszukać z nim kontaktu, bo nie pisze. Napisałam list, bo podany telefon nie odpowiadał. Po 2 miesiącach p. Młynarski (był w tym czasie za granicą) zadzwonił z wyjaśnieniem, że napisał 2 listy, że cały czas sprawa go interesuje. Umowiliśmy się, że ja napiszę

do p. Ondrackowej. Napisałam 3 listy. Na żaden do końca roku 1989 nie dostałam ZADNEJ odpowiedzi. W tym czasie p. Młynarski dzwonił do mnie co 2 tygodnie i pytał czy jest odpowiedź. Na swoje dwa listy nie dostał odpowiedzi. Zawiadomił mnie, że zadzwonił ktoś inny z RPA, ale był umówiony z p. Ondracką i rozmowy nie kontynuował. Jeżeli w końcu (nie sprawdzałam tego) zdecydował się na drugą propozycję, to tylko dlatego, nikt się z Państwa do niego nie odezwał. Nie skorzystał Państwo nawet z propozycji, żeby wysłać list do niego na mój adres. Dostarczyłabym mu na pewno, tak jak było z 1 propozycją.

Dlatego uważam p. "Edytorze", że insynuacje Pana są po prostu niesmaczne, bo nieprawdziwe, a sprawa przedstawiona polowicznie.

Wstyd !

Anna Gajewska

30.04.1990

Od red.

Chyba się jednak nie wstydzę, a tym bardziej nie ukrywam (mizerne zdjęcie, nazwisko, telefon zawsze do wglądu na str. 3). Powody są proste; nie uważam ani ja sam, ani moi koledzy, żeby mój artykuł w najmniejszym stopniu "szkalował" dobre imię p. Młynarskiego. Miał On absolutnie niepodważalne prawo wyboru i z tym nie próbujemy nawet polemizować.

Wszystkiemu winien spiszek pocztowców; PCC listy nie doszły do Polski, a rezygnacja p. Młynarskiego nie dotarła do PCC. Zamieszanie wykorzystali postronni i ta własnie nutka "unfair play" mocno nas zezłościła, ale to naprawdę nie dotyczy p. Młynarskiego. Piotr Plebankiewicz

Do Redakcji "Tak i Nie"

Jhb 6-5-1990

Od wielu dni wybierałem się do PCC na polską kuchnię ale znajomi nie chcieli się dołączyć, odradzali ostrzegając przed chuliganstwem w przemysłowej dzielnicy - wsadź sobie stalową płytkę pod koszulę jeśli chcesz z tego wyjść cało.

Wiec pojechałem sam, w nocy, zaglądałem we wszystkie ciemne kątym zanim zdecydowałem się zatrzymać wóz. Rzeczywiście pod wrażeniem przestrogi każdy przechodzieni wydawał się oprychem, każdy cieni krył szajkę zbrojow gotowych do skoku. Oczywiście mogło się skończyć źle, ale typowo polską odwagą i ryzykowną naturą wzięli górę, zwłaszcza że wizja parujących leniwych pierozków kusila nieodparcie.

Przejechałem kolo właściwej bramy cztery razy nie zdając sobie z tego sprawy, bo nie ma napisu, wisza dwie polskie flagi trochę zwiedle w bezwietrznym wieczorze. Wyjście nie oświetlone. Gospodarz w końcu zauważył podejrzany samochód kursujący tam i z

powrotem i wyszedł na przeciw jak z dawnych czasów - gość w dom, Bog w dom - i poczułem się lepiej.

Porcja gorących flaków (jako przystawka) stała już po 10 ciu minutach. Wszystkie przyprawy ustawione wachlarzem palisady wkoło talerza a między nimi skromnie się umieszcili kieliszek zamrożonej Wisły. Świeża buleczka usmiechała się zebra ją zohrupac. W końcu, główny powód mojej wizyty w PCC, wpłynęły leniwe pierozki na bazie masłano cebulkowej a do tego jeszcze dwa piwka i rozmowa z przyjaznym gospodarzem, wszystko za R22,-. Naprawdę warto było zaryzykować życiem taka kolacja zwłaszcza, że ogrodzony za bramą parking dodaje poczucie bezpieczeństwa. W środku przestrzennie, czysto, jasno, może za jasno jak na restaurację, pomogłaby n.p. świeczka na stole i przyćmiewione światła w uzyskaniu właściwego efektu intymności i czaru chwili.

Słyszałem, że komus wśród Polonii ta inicjatywa założenia PCC nie przypadła do gustu i miejsce jest częściowo bojkotowane. Co za absurd, to tylko my Polacy możemy się tak źle zachować w tak nieodpowiednim momencie.

Potrzebne jest nam przytulne miejsce do spotkań, szkoła czy świetlica dla dzieci i w ogóle jakas pozytywna akcja wokół której moglibyśmy się zjednoczyć i użyć różnych talentów, których nam nie brakuje. Bo podobno Polacy to taki zdolny naród, artystyczny, umuzykalniony i literacko aktywny.

Podobno były w PCC różne spotkania o których ludzie dowiedzieli się za późno albo po fakcie. Wszelkie inne zdarzenia polonijne są ogłaszane albo w "Dzienniku" który nie wszyscy dostają, albo przypadkowo się o nich dowiadujemy.

Bedac tutaj w RPA od 15-tu lat muszę się przyznać, że stronilem od wszelkich akcji o zabarwieniu politycznym i również ze względu na kłótniwość Polaków która mnie irytuje. Teraz, kiedy oddycham nareszcie powietrzem nieskazanym żadną doktryną, inicjatywa polskiego ośrodka kulturalnego bardzo mi odpowiada. Napewno jest dużo więcej osób które chowają się ze swoją polskością z takich czy innych powodów i chętnie by wyszły ze swojej wygodnej nory i powiedzieli "Hi", ja też jestem Polakiem, gdybysmy mogli stworzyć przyjazną atmosferę.

Tak jak bardzo popieram ukazanie się pisma "TAK I NIE", tak bardzo równocześnie żaluje, że to nie jest tygodnik który by traktował sprawy bardziej na bieżąco, brak nam podstawowych informacji, platformy do porozumiewania się na gorąco!

"TAK I NIE" to pismo o wysokich aspiracjach, polemiczne, wydawane z dużym wysiłkiem, na dobrym papierze. Czytam je i trochę się gubie kiedy sprawy dosyć blahe ciągną się przez trzy numery. Ludzie polemizują w nieskonczoność, zajmując cenne miejsce na prywatne pojedynki erudycyjne. Wydaje mi się, że nie wyczuwamy ważności chwili, która wymaga więcej akcji a mniej reakcji.

Tłumacz przysięgły polsko-afrikaans afrikaans-polski

Dr S.W. POTRZEBOWSKI

Wszelkie tłumaczenia aktów prawnych,
dyplomów i świadectw oraz tłumaczenia
techniczne. Tłumaczy również z i na
niemicki.

Pretorius str 367 0002 Pretoria
Tel (012)322-5730 Fax (012)322-0215

Restauracja przy klubie P.C.C.

CZYNNĄ OD 2 KWIEŃNIA W GODZ 11 -
22.00 (OD WTORKU DO NIEDZIELI).
REZERWACJA SALI NA IMPREZY
OKOLICZNOŚCIOWE tel.472-17-50

KLUB "ZAGŁOBA"

59, Barnato str. BEREA
tel 484-45-94

Zapraszamy serdecznie na:

- pierogi
- bigos
- fiaki
- golonke
- kaszanke
- biała kielbase

Chcesz spotkać starych znajomych,
przyjaciół, zjeść, wypić, lub zagrać w
brydza, szachy, lub pool'a - tylko w
ZAGŁOBIE

Klub otwarty od 11 rano do poźna

Do Drogiego Socjalizmu

Donoszę pokornie, że
jestem brzydki i zły i
bardzo się tego
wstydzę.

Dawniej tej mojej
brzydoty nie było
jeszcze tak widac. Ale
teraz, odkąd Drogi
Socjalizm jest już na
świecie, to wszyscy ja
widzą przez porównanie.
Bo Drogi Socjalizm jest
piękny i szlachetny.
Ja bym też chciał być
taki ładny i dobry.
Ale co... morda u
mnie podobno we
francach, bo gnije,
inteligencji brak,
kultury nie mam,
zwłaszcza pod względem
humanistycznym, zaś o
sercu lepiej nie mówić,
ono jest po prostu z
kamienia, nic tylko
bym wyzyskiwał i
wyzyskiwał. Ohyda.
Włec jakby Drogi
Socjalizm czego
potrzebował, to ja
bardzo chętnie służy.
Z tego wstydu. A także
żeby mnie Drogi
Socjalizm nie bil. To
znaczy, po twarzy
owszem, proszę bardzo,
nawet przyjemnie, tko
nie po oczach i gdzie

indziej.
Może jakich pieniędzy?
Albo coś na kredyt? To
ja zaraz, ja
wszystko.... Ja wiem,
że pieniądze są
wstretne i Drogi
Socjalizm się nimi
brzydzi, bo ma inne
wartości, więc ja
bardzo przepraszam, że
proponuję. Mnie wypada
mówić o pieniądzach,
bo i tak jestem świnią,
więc już wszystko
jedno, ale Drogiemu
Socjalizmowi nie, ja
to rozumiem. Włec jakby
się Drogi Socjalizm
się jednak przelamał i
zechciał laskawie
przyjąć, to obiecuje,
że nawet mowy o tym nie
bedzie. Tylko przelew.
Zgodzi się Drogi
Socjalizm? Przyjmie?
Bo widzi Drogi
Socjalizm, ja też bym
chciał coś zrobić dla
Ludzkości, a co może
zrobić taka świnią i
zbrodniarz jak ja? Nic,
tylko poprzec
Socjalizm.
Włec niech mi Drogi
Socjalizm nie odmawia.
Łacze serdeczne ukłony
Kapitalizm

Slawomir Mrozek

Przypominamy naszym Czytelnikom ADRES "TAK I NIE"

POBox 2300
Randburg 2125

Bogdan Studulny malarstwo

Otwarcie 22.06 1990 g.18.00
ARTERNATIVES GALLERY
Rosebank The Mall

PRENUMERATA "TAK I NIE"

PROSZE O PRZYSYLANIE MI "TAK I NIE" W CIAGU:

1 ROKU - / R - 25 /

2 LAT - / R - 40 /

Nazwisko i imie: _____

Adres: _____

Miasto: _____ Kod pocztowy: _____

Tel: _____

PROSIMY O WYSTAWIANIE CZEKOW NA: " TAK I NIE"

"TAK I NIE" jest niezależnym pismem wydawanym co dwa miesiące w Johannesburgu, R.S.A.
Adres redakcji: P.O.Box 2300 Randburg 2125 Fax 011/ 887-77-76